Nr. 46 (1194). Warszawa, 1 (14) Listopada 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za posrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Nowa rzeczpospolita.

Świat przywykł już do tego, że wiadomości z Ameryki przynoszą mu coraz to nowe rewolucye, strącanie prezydentów i ministrów, przewroty, zaburzenia i rozruchy. W chwili obecnej na Haiti, niewiadomo nawet dobrze w której rzeczypospolitej, Haityjskiej czy Domnikańskiej, sroży się rewolucya, a niewiadomo wcale z jakiego drgnienia i dla jakiego celu. Nie zadziwiłoby też nikogo doniesienie, że d. 3 b. m. wieczorem stał się wielki przewrót w małej Panamie, w północnej prowincyi rzeczypospolitej Kolumbijskiej, od przesmyku nazywanej departamentem Istmo — nie zadziwiałoby gdyby nie kanał panamski, który właśnie przerznąć ma terytoryum ogarnięte przewrotem, — i nie Stany Zjednoczone. Po upadku przedsiebiorstwa francuskiego odrazu już zjęła je oskoma na wielką łącznicę międzyoceanową; ale nim się w nich samych wyrobił jednolity prąd woli, nim Kolumbia, pani terytoryalna kanału, wyswobodziła się z więzów zawiści angielskiej i własne swe żądze sprowadziła do wspólnego mianownika rozsądku, upłynęło lat wiele. O sławetnej Panamie francuskiej dobrze już zapomniano kiedy w Waszyngtonie w r. b. stawała umowa z Kolumbią o budowę kanału.

Umowy tej Kolumbia zatwierdzić nie chciała — mowa tu nie o samym tylko rządzie wykonawczym, ale o sejmie, o sejmującym narodzie. Nie zdarzyło się nam napotkać rozumnych argumentów na poparcie odmowy, ani też wskazówek ujawniających rzeczywiste pobudki, dość, że Stany Zjednoczone napróżno wyczekiwały terminu ratyfikacyi i umowa upadła. Ale nie upadła raz w ruch w prawiona wola. Tak czy owak musiała wielka rzeczpospolita na swojem postawić: nie przez rząd w Bogocie, to przez departament Istmo. Podżegacze i podszczuwacze tak długo krążyli między ludem departamentowym, zwłaszcza w ognisku głównem ludności, życia inteligencyi, namiętności politycznych i kanałowych — aż wywołali przewrót, który znaczy ni mniej ni więcej tylko oderwanie się obywateli istmijskich od wielkiej całości państwa i ukonstytuowanie odrazu w odrębną, własną rzeczpospolitą — dobrze jeszcze, że nie w despocyę. Niesłychana szybkość, z jaką Stany Zjednoczone uznały państwo, mające nad sobą tylko tryumwirat z jakichś trzech samozwańców, nietylko nie pozwala wątpić, ale wręcz nakazuje wierzyć, że sprawcą rewolucyi, twórcą nowego państwa, jest wielka Unia. *Is fecit cui prodest.*

Po stronie Stanów Zjednoczonych działa i mądrość polityczna, tj. żądza oparta na interesie politycznym, wyrozumowanym, wytrzymującym próbę logiki egoizmu, i zarazem chciwość ekonomiczna, mająca jeszcze silniejsze wspory w pożytkach handlowych, przemysłowych i wogóle materyalnych przedsiewzięcia, które łagodnie, bez przewrotu osiągnąćby się nie dało, a przemocą osiągnięte być nie mogło — przyzwoicie. Wojna o samo podjęcie budowy kanału, o ratyfikacyę umowy, wyglądałaby jakoś po błazeńsku; praktyczniejszem było usunięcie gospodarza opornego, a wprowadzenie uprzejmego, rozwiązanie sprawy z tym a nie z tamtym. Tak też postąpiły Stany Zjednoczone. Niepodobna przypuścić złej rachuby i ostatecznego niepowodzenia, nawet gdy się uwzględni całą zawiść Anglii i niechęć Europy ku Ameryce. Kolumbia nie odważy się na walkę, a Anglia nie stoczy jej o Panamę. Uznanie już spełnione; przyjęcie posła, będącego już w drodze, a może i na miejscu, w Waszyngtonie; wyraźne przyznanie się zamachowców, że działali w widokach kanału— z pożądliwości i łakomstwa na złoto, które nim płynąć będzie; wyzywająca postawa Unii; wysłanie floty, wysadzenie wojska, okólnik Haya, sięgający aż do umów z roku 1846, a przemawiający w imię cywilizacyi, w interesie handlu świata całego a dla dobra samej Kolumbii — wszystko to pozwala robocie podziemnej wróżyć niezawodność zdobyczy.

Ta lilipucia rzeczpospolita, przez oberwańców i łapigroszów w ciągu kilku godzin założona, sama przez się byłaby tylko tematem do komedyi obyczajowej; dopiero rola Stanów Zjednoczonych przy jej narodzinach, a właściwie ich ojcostwo, czyni z niej coś takiego, co ma już prawo dostać się pod topór myśli. Cała robota w Panamie, przeprowadzona w celu zupełnego jej opanowania, jest oczywiście niegodziwą, łotrowską; ale dłużej nad nią samą zatrzymywać się nie warto: ponad fakt historyczny, w pewne zjawiskowe kształty przodziany, wzbija się — psychologiczny. Jakże nizko upada ten wielki ośrodek wspólnego czucia, myślenia i działania, dla którego Jefferson wymarzył ideowy podbój świata! Jakże prędko zbliżył się, upodobnił do tego, co miał ideą swoją podbić! Jak szybko ideę tę, skarb swój, ducha i prawo swoje, wydał za tak trywialną a tak wiekuistą michę soczewicy, za to rozpościeranie się na zewnątrz, w samym końcu XIX w. dopiero rozpoczęte! Dziś skuteczna obrona ludzkości na Kubie pozwala niemniej skutecznie dopuszczać się nieludzkości na Filipinach, a sam zabór tych wysp ze stanowiska mo-

ralnego niweczy całą zasługę wyzwolenia perły Antyllów. Polityka, która w r. 1898 działała siłą, w r. 1903 działa już chytrością i podstępem. Za jakie dziesięć lat ministrowie amerykańscy wyćwiczą się w kunszcie wytwarzania pozorów, korzystania ze sposobności, łapania co się da i jak się da, i wreszcie podstawiania nóg temu, kto się zajść nagle pozwolił. Żyje się tam szybko i szybko też postępuje. Postęp w Stanach Zjednoczonych przeraża.

List z Wiednia.

Jubileusz wielkiego dnia — jeśli nie wielkiego człowieka — obchodziła w tych czasach Austrya: 80-tą rocznicę urodzin Hansa Kudlicha. Hans Kudlich? — któż to taki? Nie słyszano nigdy o takim ministrze, profesorze, literacie, ani nawet aktorze. Imię to dziś brzmi dla publiczności bez znaczenia. Ale głośne było przed pół wiekiem.

Dnia 13 lipca 1848 r. zgromadziła się w Wiedniu konstytuanta austryacka, wybrana przez wszystkie ludy, do której zwołania rząd został zmuszony postawą ludu wiedeńskiego. W niecałe dwa tygodnie potem, d. 26 lipca, powstał najmłodszy członek zgromadzenia, syn chłopski z pod Tropawy, poseł z tamtejszego niemiecko-śląskiego okręgu, 25-letni Hans Kudlich; skończył był on zaledwie fakultet prawny na uniwersytecie wiedeńskim, brał udział w dotychczasowych ruchach Wiedeńczyków, był członkiem sławnej Legii akademickiej; przybrany więc w jej niebieski uniform z białym kołnierzem, porywając wszystkich młodzieńczym swym wyglądem, wypowiedział płomienną mowę, domagając się, by pierwszym czynem przedstawicielstwa ludów austryackich było zniesienie pańszczyzny. Chętnie, czy niechętnie, ale zgodziło się na to całe zgromadzenie; nikt nie wystąpił przeciw wnioskowi, który natychmiast, wśród oznak zapału, przyjęty został jednomyślnie. Było to coś w rodzaju austryackiej nocy 4 sierpnia. Rozwiązanie całego szeregu wysuniętych później szczegółów praktycznych zajęło jeszcze długi czas, wywołało wiele sporów; sprawa zakończyła się ostatecznie dopiero patentem cesarskim z d. 7 września 1848 r. Ale zasada sama została uchwalona d. 26 lipca na wniosek Kudlicha; jego imię związane jest nazawsze z tym doniosłym faktem historycznym.

Kudlich i w następnej fazie rewolucyi nie pozostał bezczynnym. Choć mocno skompromitowany, choć wiedział, że od rozpoczynającej się kontrrewolucyi nic go dobrego spotkać nie może, zajął jednak odważnie swe miejsce w parlamencie i po przeniesieniu tegoż do Kromieryża, brał udział w pracach nad ułożeniem konstytucyi, a po rozpędzeniu konstytuanty próbował w swych stronach rodzinnych wywołać powstanie chłopów w jej obronie. Ale chłop, po długich wiekach przerwy zbudzony dopiero do ludzkiego życia, niewyszkolony pod względem politycznym, niepojmujący jeszcze związku swych interesów ze sprawami ogólnemi, złożył i tu — jak współcześnie w innych warunkach we Francyi — dowód swego bezpośredniego egoizmu klasowego: mając już w kieszeni zniesienie pańszczyzny i wszelkich powinności względem panów, nie widział potrzeby narażać się w obronie konstytuanty. Czyn Kudlicha obrócił się tragicznie przeciw niemu. Skazany na śmierć, zdołał zbiedz jednak. Udał się do Szwajcaryi i tam, ukończywszy medycynę, ożenił się i, jak tylu innych bojowników r. 1848, wyemigrował do Ameryki. W Hoboken pod Nowym-Yorkiem praktykował do ostatnich lat i żyje jeszcze, czerstwy, zdrowy starzec. Tam posłano mu z Austryi w dniu urodzin mnóstwo życzeń i powinszowań demonstracyjnych.

Nie był Kudlich wielkim człowiekiem, choć uczciwie i odważnie pełnił swój obowiązek obywatelski, dopóki istniała po temu jakakolwiek objektywna możliwość; ale miał jeden wielki, niezapomniany dzień, chwilę, za którą można oddać całe życie, chwilę, w której był wykonawcą wyroków historyi i porwał za sobą całe społeczeństwo. Później, oderwany zupełnie od gruntu rodzimego, pochłonięty ciężką walką o byt, odsunął się od spraw politycznych. I można tylko żałować, że nie wytrwał w tem odosobnieniu do końca, bo pociągnięto go do solidaryzowania się z żywiołami, które z jego bohaterską przeszłością nie mają nic wspólnego. Mieszczaństwo niemieckie, tak w Niemczech, jak szczególniej w Austryi, odbyło w ciągu pół wieku, a nawet, ściślej, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, wspaniały rozwój wsteczny: pod tym względem zajmuje ono doprawdy pierwsze miejsce wśród pokrewnych sobie żywiołów klasowych w całej Europie, i tylko nasi „wszechpolacy“ mogą z niem iść w paragon... Zdradzono wszystko, wszystkie zasady i ideały, z wyjątkiem jednego patryotyzmu, który zamienił się na najwstrętniejszy, najbardziej zaborczy szowinizm. On to każe łasić się wszystkim siłom przeszłości i reakcyi, które się przedtem zwalczało, zawierać z niemi jak najściślejsze przymierza. Taką nędzę moralną i polityczną reprezentują stronnictwa lewicy niemieckiej w Austryi: t. zw. wiernokonstytucyjne-magnackie — t. zw. postępowe - wielkokapitalistyczne, i wreszcie t. zw. ludowe-drobnomieszczańskie. Te żywioły lubią także zdobić się w bohaterstwa przeszłości, podtrzymywać fikcyę ciągłości ideowej między niemi a sobą. Tu, w Austryi korzystają oczywiście z gratki, jaką nastręcza jubileusz Kudlicha i robią z niego swego człowieka. A on, żyjąc na drugiej półkuli, nie znając już i nie rozumiejąc zupełnie zmienionych stosunków społecznych i politycznych w ojczyznie, pozwala na to, solidaryzuje się z nimi, zamiast z tymi, którzy rzeczywiście, tylko odpowiednio do zmienionych warunków, prowadzą dalej rozpoczęte wówczas dzieło. Kudlich w dniu swego jubileuszu nadsyła na ręce takiej *Neue Freie Presse* telegram z wyrazami radości, że niemieckie partye zawarły związek — do którego, oprócz wymienionych trzech grup, wchodzi też czwarta: najbardziej czarno-żółci z czarno-żółtych, z wsteczników najcyniczniejsi, chrześciańsko-socyalni Luegera!

Zadaniem tego związku czterech godnych siebie stronnictw jest przedewszystkiem patrzeć na ręce dr. Körberowi, żeby przypadkiem nie zrobił Czechom słusznie im należących się ustępstw. Drugiem zadaniem było przez kilka miesięcy—wytrząsać pięścią pod adresem Węgrów, domagających się unarodowienia swej armii. Gdzie te czasy, kiedy Wiedeń Kudlichów i Blumów zrywał się, żeby nie dopuścić do wysłania pułków przeciw Węgrom i kiedy czekał potem od nich odsieczy, oblężony przez Windischgraetza! Obrzydliwe i komiczne robiły wrażenie organy stronnictw, niby konstytucyjnych, niby postępowych, niby ludowych, stronnictw, które występując przeciw tak częstym w armii austryackiej nadużyciom, skarżyły się nieraz na brak wszelkiej kontroli parlamentarnej nad wydziałem ministeryum wojny, a obecnie wszelkimi sposobami, za pomocą sofistyki najwyszukańszej, usiłowały przeszkodzić stwierdzeniu i uznaniu prawa parlamentu do kontroli i kierowania sprawami wojsko-

---

Wacław Sieroszewski.

Kawałek Japonii

(Wyjątek z dziennika).

19 września 1903 r.

„Pochlebstwo przyjemne, lecz prawda stokroć lepsza.“

Nie zażyłem rozkoszy w Hokkaido. Japończycy uważali naszą podróż za wojenną, wywiadowczą wyprawę, dokuczali nam i koniec końców musiałem przed czasem przerwać moje studya.

Ale... człowiek nienawidzi wyrazu *nigdy!*

Gdy ruszyliśmy i śliczna Hakodacka zatoka zaczęła mi blednąć w oczach i zasnuwać się zakrętami gór, serce dziwnie mi się ścisnęło. Z chciwością niepoprawnego żarłoka zacząłem wchłaniać widoki tych blado-zielonych, wyniosłych brzegów, cudnie malowanych na błękicie nieba i morza. Tyle razy zachwycałem się nimi i nigdy nie miałem ich zawiele. Tymczasem amfiteatr miasta, rozsypany na stokach skały „Leżącego byka“ szybko malał. Już małe domki japońskie wyglądały jak gniazda jaskółcze, już dachy ich niknęły wśród zieleni ogrodów, podobne do drobnych, jasnych tafli, już jaskrawe, czerwono-żółte flagi, miotające się tu i owdzie nad nimi, zmalały do wielkości skrzydeł motylich. Liliowa gaza odległości przysłaniała wszystko. Sieć masztów okrętowych w porcie stała się podobna do pajęczyny. Jedynie biała iglica kościoła protestanckiego strzelała wyraźnie ku niebu na lewym boku groźnej skały, a na prawym wznosił się nowiuteńki zrąb cyprysowy świeżo zbudowanej, szintoiskiej świątyni. Byłem na jej poświęceniu. Dokoła rzeźbionych, zaledwie postawionych słupów, kapłani w zielonych i żółtych szatach oprowadzali z kwiatami w rękach biało odziane dziewice, przepasane wzorzystemi „obi.“

Był śliczny dzień majowy, tłum barwną ścianą oblegał miejsce uroczystości, wieszał się na pomnikach sąsiedniego cmentarza, na dachach sąsiednich budowli... Miarowo huczał dzwon, grały bębny i samusiny. Rzeka chorągwi żółtych, czerwonych, zielonych, niebieskich, wyciętych w kształcie ryb, wężów, smoków, popstrzonych dziwacznymi znakami, przelewała się nad miastem opustoszałem na chwilę...

Z obu stron miasta dwie błękitne, gładko wcięte zatoki z łagodnym szumem wyrzucały białe, wężowe sznury pian...

W środku lata widziałem znowu otwarcie doków hakodackich i zdumiony byłem dekoracyjnemi zdolnościami Japończyków. Z kilku brudnych, szarych żagli, z czerwonych tułowi odnawianych statków, z jodłowych gałęzi, z całego obłoku powiewnych skrawków jedwabnych, baniastych, kolorowych latarni, migotliwych strzępów złotego i srebrnego papieru, stworzyli oni tak malowniczy obraz, że pewny jestem, iż na jego widok Pankiewicz mrugnąłby z zadowoleniem okiem, a Jacek Malczewski usiadłby i złożył ręce.

Ba! Mieli za tło południowem słońcem nasycone, przeczyste powietrze lazurowe i morze!

Teraz była jesień, dzień chmurniejszy, barwy bledsze; miasto, nieubrane jakoby, żegnało się ze mną w rzewnem zamyśleniu...

„Co przyniesie mi twój pobyt, cudzoziemcze?! Czy aby mię nie skrzywdzisz?“

*) Ekspedycya składała się ze mnie, Bronisława Piłsudzkiego, wybornego znawcy życia Ainów i mówiącego dość biegle po ainsku, oraz z sachalińskiego aina Toronciego, który umiał czytać i pisać po japońsku i służył nam za japońskiego tłumacza.

wemi — dlatego jedynie, że szło o parlament węgierski — usiłowały uzasadnić i uwiecznić absolutyzm w armii, nierozłącznie związany ze wspólnością armii austro-węgierskiej. Teraz zaś cały ich dowcip wysila się na to, aby dowieść, że właściwie Węgrzy nie otrzymali żadnego ustępstwa, że prawa korony i cały stan rzeczy dotychczasowy pozostały zupełnie nienaruszone. Oczywiście jest to wierutnym fałszem. Czytelnicy pamiętają, o co w tym całym zatargu chodziło. Korona habsburska tłomaczy ustawy dualistyczne z roku 1867 w ten sposób, że wszystko, co dotyczy wewnętrznego zarządu armii, zostało oddane do wyłącznego rozporządzenia monarchy i wskutek tego nie podlega wcale uchwałom, ani kontroli parlamentu. Węgrzy natomiast, i to nietylko stronnictwo Kossutha, ale i rządzące stronnictwo liberalne, które w końcu opracowało sobie cały program wojskowy, uznając, że ustawa z r. 1867, uchwalona wówczas przez parlament, złożyła zarząd armią w ręce monarchy, rozumieją, że monarcha może i w tym zakresie rządzić tylko konstytucyjnie, to znaczy za pośrednictwem ministeryum, odpowiedzialnego przed parlamentem, dalej, że prawo to nie jest odwiecznem jakiemś, ani wieczystem, tylko wynikło z prawodawczo wyrażonej woli narodu i wola ta może je w podobny sposób zmienić; stając na tem stanowisku, Węgrzy żądali całego szeregu reform. Rok trwała walka; akurat w początku października r. z. rozpoczęła się obstrukcya Kossuthowców. Z początku odmówiono Węgrom wszystkiego, odmówiono bezwarunkowo; do ostatniej niemal chwili stano na tem bezwzględnem stanowisku, odwołano się nawet wprost do armii w słynnym rozkazie dziennym z Chłopów w Galicyi. Uznano Galicyę za najodpowiedniejsze miejsce do manifestacyi militarno-czarno-żółtej: ach, co za honor, co za cześć!.. Ale była to ostatnia próba nastraszenia Węgrów. Węgrzy nie zlękli się, tylko odpowiedzieli na to powtórnem, demonstracyjnem obaleniem ministeryum Khuena i wzrastającą, skuteczną agitacyą za zaprzestaniem płacenia podatków. Ustąpiono Węgrom na całej linii! Jedynie udało się uratować pozory nowemu prezesowi ministrów Tiszy, zapobiedz zbyt oczywistej kompromitacyi — przez to, że stronnictwo liberalne przyjęło jego dwie skromne poprawki do swego elaboratu programowego. Zgodzono się niby na to, że korona wykonywa swe prawa konstytucyjnie w zakresie zarządu armią „w sposób dotychczasowy,“ ale jednocześnie zarówno tekst elaboratu, jak wygłoszone mowy uzasadniające, nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tego, że prawa te są dane i ograniczone przez konstytucyę, że mogą być w drodze prawodawczej zmienione i że parlament ma nad ich wykonaniem kontrolę. A co do treści samej owych żądań, to Węgrzy nie otrzymali wprawdzie tym razem jeszcze komendy w języku węgierskim, ale otrzymują rzeczy z pewnością z punktu widzenia narodowego nie mniej ważne: zobowiązanie, że w możliwie najprędszym czasie jedynie oficerowie węgierscy, a nie austryaccy, stać będą na czele wojsk węgierskich, przeprowadzenie prawie w całości języka węgierskiego wykładowego w szkołach wojskowych, również w sądach wojskowych, w stosunkach władz wojskowych z cywilnemi, dalej — oznaki i sztandary narodowe, zamiast wspólnych cesarskich itd. itd.

Każdy szczery demokrata w całej Austryi powinienby się cieszyć z tego zwycięztwa Węgrów, ponieważ w obecnym stanie rzeczy parlament węgierski jest w w całej monarchii jedynem ciałem rzeczywiście parlamentarnem, zdolnem do wykonywania kontroli nad zarządem armii i do wywierania nań wpływu w duchu, bądź co bądź pożądanym dla ogółu. I pod tym, nie czysto narodowo-węgierskim względem, całoroczny kryzys, przebyty obecnie przez armię austryacko-węgierską, nie pozostał bez rezultatów pozytywnych. Ministeryum wojny, okrzyczane w obydwóch połowach monarchii, napastowane przez rok cały, zmuszone do wywołania olbrzymiego niezadowolenia szerokich warstw przez zatrzymanie w służbie wysłużonych już rekrutów, zapragnęło przed nadchodzącem zebraniem delegacyj, poprawić sobie nieco opinię u publiczności i zdecydowało się nareszcie na zniesienie dwóch prawdziwie barbarzyńskich, średniowiecznych sposobów karania żołnierzy: t. zw. „szpangi“ i „słupka!“ Można je prawie w jednym rzędzie postawić obok tortur inkwizycyjnych „żelaznej „dziewicy“ i „koziołka hiszpańskiego.“ Kto nie wierzy, niech posłucha i dowie się, na co byli skazywani do tej chwili za drobne często przewinienia żołnierze sławnej, zwycięzkiej armii czarno-żółtej, którzy zresztą dopiero w roku 1869 uwolnieni zostali ostatecznie od — pałek. Kara szpangi polegała na tem, że się żołnierzowi siedzącemu skuwało żelazem prawą rękę koło łokcia z lewą nogą koło kolana, albo naodwrót. Musiał tak siedzieć dwie godziny, nie mając przytem prawa palić tytoniu, rozkuwano go na godzinę, poczem znów skuwano na dwie godziny, i tak do trzeciego razu. Jeszcze straszniejsze było t. zw. „Anbinden,“ przywiązywanie do „słupka.“ Skazańcowi krępowano silnie nogi w kostkach oraz ręce w łokciach i powyżej dłoni, ściągnięte na plecach i odwrócone dłońmi na zewnątrz, poczem przywiązywano mu te ręce do kółka wbitego w ścianę lub do drzewa, jeśli rzecz działa się na otwartem powietrzu. Taki był przepis — dość już barbarzyński; ale wykonanie było o wiele jeszcze okrutniejsze; gorliwi bowiem podoficerowie pod pobłażliwem okiem oficerów podnosili jeszcze skazańca za związane dłonie w ten sposób, że zaledwie końcami konwulsyjnie wyciągniętych palców u nóg mógł dotykać ziemi. Po półgodzinie takiej męki drętwiały już wszystkie członki; a trwała ona podług regulaminu — dwie godziny. Zwykle skazaniec po odwiązaniu padał omdlały na ziemię; nieraz — nie podnosił się więcej, bo przecie kara ta spotykała często wątlejszych, niedołężniejszych, niemogących podołać wymaganiom mustry, przystosować się do koszar.

Teraz kary te nie będą już stosowane — przynajmniej w czasie pokoju. Na czas wojny jeszcze je sobie ministeryum zachowało.

zz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Między Rosyą i Japonią układy nie zerwane, ale też i nie wróżące blizkiego porozumienia. Balfour w dorocznej mowie u lorda mojora d. 9 b. m. wyraził nadzieję umiarkowania ze strony Japonii, którą nazwał sprzymierzeńcem. Nad Jalu rzeczywiście istnieją roboty ziemne; telegraf jednak uspakaja świat, że nie są to forty, ale tylko „przyczółki sygnałowe.“ Na Korei teraz właśnie wchodzi w życie umowa z Rosyą o prowadzenie kopalni węgla w prow. Iczuan. Japonia i St. Zjednoczone zażądały zamknięcia tej części Korei dla handlu zagranicznego; według Rosyan powyższa koncesya górnicza obejmuje całą dolinę Jalu.

Nowa rzeczpospolita „Przesmyku“ (Istmo) powstała d. 3 b. m. w Panamie. Zrobili ją podżegnięci przez St. Zjednoczone spekulanci-politycy, chcący nareszcie doczekać się kanału i dolarów. St. Zjedn. posłały flotę i wojsko. Kolumbia nie zmierzy się z niemi. Kanał teraz zapewniony.

Zawracamy gwałtownie. Dwa łuki spienionych fal biegną za naszym parowcem, krzyżują się i, bieląc w zapasach, wspinają do góry. Porwane przez nie po drodze małe czółno rybacze kołysze się, jak łupina: goły rybak ledwie wiosła w dłoniach utrzymać może, czerwony pływak portowy, rzucony w lazur zatoki, niby oderwany kwiat granatu, to ginie wśród zwojów bałwanów, to znowu się wynurza.

Miasto już znikło, w głębokiem wcięciu zatoki bieleją jedynie na zboczach zacienionych gór domki wiosek, widać długą, czarną sylwetkę więzienia i zalotne budowle zakładu kąpielowego Iunokawy, gdzie mają zwyczaj kąpać się razem wesołe „gejsze“ i miejscy dandysi. Już nic nie widać, jeno zielonawo-płowy wnęk wyniosłego brzegu, nad perłowem wody roztoczem i na rogach jego z jednej strony strome, malachitowe wiszary „Leżącego Byka,“ za które schowało się miasto, a z drugiej, z po za gór, wygląda różowy, niezrównany w swych liniach i cieniach krater „Komagatakie.“ Fale tłuką się o spadające wprost do wody głazy „Leżącego Byka,“ zaś wydrążony stożek Komagatakie, rysując się wyraźnie na błękitnem niebie, ginie spodem, śród mgieł liliowych. Oba wyglądają tak uroczo, a jednak oba kryją pioruny. Komagatakie wybuchał w 1856 roku; zaś na wygładzonym wierzchołku „Leżącego Byka“ uważne oko dostrzeże bez trudu ślady ludzkiej ręki. Samotne słupy telegraficzne, wybiegłszy na krawędzie skał, ostrzegają, że tam czuwają zatajeni ludzie, że proste linie wiszarów to brzegi blanków i szańców. Zresztą każdy wie, że tam jest groźna forteca, uzbrojona w ciężkie działa, że cała zatoka podminowana jest torpedami i parowiec nasz płynie po ludzkim, zalanym wodą wulkanie. Forteca stoi na tem samem miejscu, skąd w 1868 r. działa zwycięzkiego mikada, z wielką zręcznością i wysiłkiem wciągnięte z nieprzystępnej strony na wierzchołek góry, zgromiły twierdzę zbuntowanego daimosa Inomoto. Twierdza stała wówczas na dole, tam, gdzie obecnie doki, i broniła wejścia do portu. Daimos Inomoto był wówczas młodym marynarzem, który wrócił właśnie z Ameryki, gdzie się kształcił. Dowodził flotą Szoguna Iokugawy i uszedł z nią na północ do Hokkaido (Jesso). Powiadają, że chciał utworzyć na wyspie samodzielną rzeczpospolitę i w tym sensie złożył deklaracyę cudzoziemskim przedstawicielom. Lecz zręcznie zaskoczony w Hakodate przez wojska mikada, zbombardowany z góry, ukrył się w twierdzy Goryo-kaku, na przeciwnym brzegu zatoki i niedaleko stamtąd, na pochyłościach gór stoczył walną bitwę, w której większość powstańców zginęła. Sam Inomoto z 80 stronnikami, dowiedziawszy się o przegranej, już gotował się w salach zamku do zbiorowego „harakiry,“ gdy wpadł poseł mikada, niosąc mu przebaczenie, wezwanie do dworu i powrót łask. Inomoto oddał zczasem znaczne usługi swej ojczyznie, został admirałem i odznaczył się świetnie w ostatniej wojnie chińskiej.

Tak Japonia zwyciężała swych buntowniczych synów!

Obecnie znów wojna wisi nad wyspą i serce boleśnie zamiera, przysłuchując się głuchemu biciu fortecznych armat, strzelających do celu. Jakoś umysł nie chce wierzyć, aby w tej czarownej okolicy mogła płynąć krew, aby pułki walczących ludzi znów paliły domy, poniewierały wdzięczne kobiety z kwiatkiem we włosach, mordowały skrzętnych, zabiegliwych pracowników.

Statek nasz wybiegł na środek cieśniny i długie, majestatyczne fale Oceanu Spokojnego zaczęły go mocno kołysać. Młyn deszcz przy słabym ale zimnym wietrze. Schroniłem się do kajuty. Wkrótce przyszedł mnie odwiedzić Amerykanin, z któ-

Porcie do powstania w Macedonii przybyło powstanie w Jemenie, prawie endemiczne, z małemi przerwami. Sprawa macedońska w dyplomacyi zaczyna się zaostrzać. Porta odpowiedziała niedorzecznie, że już robi to, czego od niej chcą, kontroli nie potrzebuje, może tylko rozpuścić iławów i uwolnić lud od podatków; amnestyę już sama z siebie wydała. Taka odpowiedź, rzecz prosta, może tylko przyspieszyć rzeczywiste działanie. Mocarstwa obejmą same kierunek w swe ręce, a w tym celu może się potrzebnem okazać małe wkroczenie. Teraz już w Serajewie głośno mówią o wymarszu Austryaków. Na zjeździe w Wiesbadenie d. 4 i 5 b. m. wobec obustronnych kanclerzy osiągnięto przyzwolenie ces. Wilhelma, uchodzącego za patrona Turcyi, na to, czegoby chciała Austrya w porozumieniu z Rosyą. Niemcy wyglądają tu nawet na pośrednika ze stłumioną interwencyą. Anglia i Włochy zagroziły Porcie działaniem samoistnem.

W Serbii aresztowano stu kilkudziesięciu oficerów, podejrzanych o spisek; większość już uwolniono i podobno — pod wpływem z zewnątrz — do procesu newet nie przyjdzie. Głównej masy więźniów dostarczyło znane już ciało oficerów etycznych. Grunt ciągle grząski. Jeden z dzienników białogrodzkich donosi nawet o abdykacyi Piotra I. Król, nie znalazłszy szczęścia, szukał kredytu w Serbii; ale i tego nie znalazł: z kłopotów pieniężnych wybawił go dopiero Länderbank, dając mu milion franków — dość ryzykownie.

Wybory bułgarskie dały ogromną większość (140 na 190) Stambułowcom. Życiu księcia ma grozić niebezpieczeństwo. Stambułowizm objawia się dotychczas umiarkowaniem w ruchu macedońskim. Stosunek Bułgaryi do Rosyi zachmurzył się znacznie przez wynik wyborów.

D. 4 b. m. otwarcie akademii niemieckiej w Poznaniu zgromadziło wielki świat niemiecko-patryotyczny. Mowy nie bodą wymysłami na Polskę. Cierniem jest sama akademia.

Ces. Wilhelm poddał się d. 7 b. m. operacyi lewej struny głosowej. Rana ma się dobrze goić, chory nie cierpi.

Sejm galicyjski obradował do d. 4 b. m. Pod koniec zajmował się szkołami przemysłowemi i rolniczemi, zachętą dla przemysłu i rolnictwa, wreszcie budżetem, który w przeddzień dopiero uchwalił. Zamyka się on kwotą 25,229,381 k. w wydatkach, 10,660,466 k. w rozchodach; pozostałych 14,568,915 dostarczyć ma zwykłe opodatkowanie procentowe. Nadto kraj ma zaciągnąć pożyczkę. Szkoła w Białej dostała 1,000 k. Dano coś i na opróżnienie Wawelu. — Za Rusinów Romański podziękował metr. Szeptyckiemu w sejmie za poparcie sprawy uniwersyteckiej. Metropolita odpowiedział, że nigdy nie przestanie bronić interesów kościoła i narodu rusińskiego.

W Peszcie dopiero 6 b. m. udało się Tiszy wygłosić programat rządowy, poprzednio już w klubie liberalnym wyłuszczony. W programacie tym węgierska armia, jako węgierskie marzenie, jest prawem serc węgierskich; ale osiągnięcie jej nie powinno być skutkiem wojny i wogóle siły, przemocą działającej. Rząd będzie liberalny i narodowy. Czy wogóle będzie? Bo we dwa dni po pierwszej spokojnej od wielu miesięcy robocie sejmowej, jaką było wysłuchanie programatu, znowu podnosi się obstrukcya. Ugron i Szederkenyi tak nią zagrozili, że Kossuth, aby ich nie utracić, i przez swoje też stronnictwo, radykalno-narodowe, uchwałę obstrukcyi przeprowadził. D. 9 b. m. była znowu burza. Prędko się skończyły gody!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Stanisławowska Kasa chorych. — Teatr ludowy w Krakowie. — Krakowskie biblioteki. — Owacye dla dr. P. Chmielowskiego.

Krwawe wypadki stanisławowskie zwróciły znowu powszechną uwagę na sprawę prowincyonalnych Kas chorych, używających smutnej sławy pod nazwą „gniazd złodziejskich.“ Pisałem już niegdyś obszernie o nadużyciach w tych „gniazdach,“ to też nie będę powracał do ogólnej charakterystyki tej instytucyi, ograniczając się jedynie wypadkami w Stanisławowie.

Walka o wydarcie stanisławowskiej Kasy chorych z rąk kliki, gospodarującej w niej w sposób, urągający wszelkim prawom, toczy się już od lat kilkunastu. Lecz wskutek rozmaitych nadużyć kończyła się porażką robotników i tryumfem kliki, na czele której stoi niejaki dr. Rubinstein. W listopadzie r. 1899 przeprowadzono wybory w taki bezwzględny sposób, że pogwałceni w swych prawach członkowie okazali się zupełnie bezsilni. Wówczas wybuchły zaburzenia, na skutek których nastąpiło rozwiązanie przez namiestnika zarządu i wprowadzenie do Kasy komisarza rządowego. Stosunki przez to mało się polepszyły. Lekarz kasowy, dr. Rubinstein wraz z naczelnikiem biura zachowywali się wyzywająco względem członków Kasy, fałszywie informując komisarza rządowego. Brück sam załatwiał wszystkie prośby i zażalenia, a dr. Rubinstein, ufny w to, że jego ojciec ma wielkie wpływy u wszystkich władz, dobrze płatną posadę w Kasie chorych traktował, jako zajęcie uboczne, w najwyższym stopniu niedbale. Grubiaństwo, niedbalstwo i lekceważenie interesów członków — oto cechy postępowania dr. Rubinsteina, który razem z Brückiem prowadził gospodarkę protekcyjną i przynoszącą im znaczne dochody.

Nareszcie w lecie roku bieżącego namiestnictwo postanowiło rozpisać ponowne wybory. Dowiedziawszy się o tem, członkowie postanowili jeszcze raz poczynić starania w celu zdobycia Kasy. Nie szczędzili więc zachodów ani kosztów, byle przyczynić się do wydarcia instytucyi z rąk niesumiennej kliki. Ta praca pochłaniała mnóstwo wydatków na stemple do podań o pozwolenie urządzania zgromadzeń, drukowanie i rozsyłanie afiszów, odezwy, podróże mówców, depesze z zażaleniem do władz centralnych, podróże delegatów do namiestnictwa itd. itd. Mężowie zaufania członków Kasy przedstawiali staroście swe życzenia, tyczące się wyborów, ale ten z zasady im odmawiał.

Żądano np., aby wybory zostały naznaczone na niedzielę, gdyż robotnicy skutkiem nędznych zarobków i strasznej drożyzny nie mogą tracić dnia roboczego bez uszczerbku dla swoich rodzin. Następnie żądano, aby wybory rozpisano jeszcze w lecie, gdyż na jesieni robotnicy budowlani, cegielniani i zajęci przy robotach ziemnych rozjeżdżają się dla braku pracy, a ci właśnie stanowią bardzo poważną część członków. Obydwom tym żądaniom starosta odmówił. Tak samo odmówił żądaniu, aby pozwolono mężom zaufania robotników przejrzeć listę członków Kasy, ponieważ przy poprzednich wyborach okazało się, że na listę wpisani zostali ludzie, niemający żadnego zajęcia i żyjący właśnie z tego rodzaju szalbierstw, a z drugiej strony robotników, opłacających przez długie lata wkładki, wcale nie wpisywano na listę, zmuszając ich tracić na reklamacye bardzo dużo czasu. Odrzucanie żądań członków Kasy wywołało wśród nich rozgoryczenie. To rozgoryczenie stale było potęgowane różnemi malwersacyami i nadużyciami, a nawet otwartymi gwałtami poplecznikow dr. Rubinsteina, wśród których

---

rym zaznajomiłem się w Sapporo. Miał tylko jedną nogę, ale dawał sobie dzielnie radę z kulami nawet na obślizgłym i kołyszącym się pomoście. Szukał przez trzy lata nafty na Hokkaido, ale znalazł jej zbyt mało, by przedstawiała „business.“ Choć źródła nafty na Hokkaido należą do rzeczy mniej fantastycznych, niż na Sachalinie, lecz dotychczas nie znaleziono jej wytrysków. Są jednak obfite jej ślady, gdy tymczasem mówiono mi, że na Sachalinie trzeba dla pocieszenia przedsiebiorców nalewać do wierconych dziur nafty, kupionej w składzie. Praktyczny, kulawy Amerykanin pogodził się ze stratą i wycofał z interesu, zostawiając odkrycie trafowi.

Deszcz padał coraz większy. Szaruga zasnuła zupełnie brzeg przeciwny i nie widziałem na odjezdnem olbrzymiego „Osoresan“ — „Góry Przerażenia.“

W Aomori cztery godziny spędziłem w hotelu w towarzystwie Japończyka, którego dwa okręty były właśnie schwytane przez okręt wojenny, rosyjski na morzu Ochockiem i skonfiskowane. Twierdził, że niesłusznie, że miał wykupione świadectwa, że miał wszystkie papiery w porządku. Pochodził z południowej Japonii, z Kang, gdzie posiadał dom, ziemię, gdzie mieszkali jego rodzice i krewni. Ale sam przeniósł się już był dla interesów do Hakodate z żoną i dziećmi i prowadził rybołówstwo w szerokich rozmiarach na Hokkaido i Sachalinie. Mówił o swej stracie — a oceniał ją na 20,000 yen *) — bez goryczy, jak mówi się o pożarze, gradobiciu, powodzi. Otaczał mnie uprzejmą opieką, choć miał mię za Rosyanina.

Wogóle Japończycy znają tylko „polityczne“ narodowości oraz najbliższych swoich sąsiadów. Wszystkie narody romańskie: Włochów, Hiszpanów, Rumunów, Portugalczyków uważają za Francuzów, Szwedów, Duńczyków, Szwajcarów — za Niemców; wszystkich Słowian — za Rosyan. Ale jednocześnie rozróżniają Amerykanów od Anglików, oraz wiedzą coś niecoś o Holendrach, ponieważ ci w dawnych czasach uważani byli za wasalów Japonii i na tej wyłącznie zasadzie dopuszczani do handlu z Japończykami.

Spotykałem wprawdzie wykształconych Japończyków, którzy wiedzieli cokolwiek z historyi o Polsce, lecz takich bardzo mało. Nie istniejemy w wyobraźni tego ludu i zawsze miałem na poczcie kłopot z listami rekomendowanymi do Warszawy, których nie chciano przyjmować na zasadzie, że takiego miasta niema. Dopiero mozolne poszukiwania w grubej księdze „pocztowego żywota“ i wykrycie, że istnieje tam pewne miasto, zapisane jako „Warschau,“ dawało mi broń do ręki, choć znowu musiałem staczać walkę, aby nie pisano „Germany,“ gdyż we wszelkich spisach i tablicach na Dalekim Wschodzie Niemcy zabrali nas już sobie.

Okropnie zabiegliwy naród!

W Aomori zaczyna się kolej żelazna.

Byłem znużony i wyznaję, że bałem się już jakichkolwiek zatargów, a nawet styczności z ludnością północnych prowincyj, podrażnionych grozą wiszącej w powietrzu wojny. Nie wszyscy są tu tacy uprzejmi, jak ten kupiec z Kang. Wziąłem więc bilet pierwszej klasy, miejsce sypialne i ruszyłem pociągiem nocnym. Wagony japońskie są nieduże, ale bardzo starannie utrzymane, przyzwoite i dość wygodne. Nasz wagon podzielony był na dwie części: jedna miała posłania, druga była salonikiem czyściuchnym, skromnym, ale gustownie urządzonym. Do niego przylegał bufet, gdzie za trzydzieści kilka kopiejek dostałem wyborną, europejską wieczerzę z legumina i deserem.

W Japonii pierwszą klasą jeżdżą wyłącznie cudzoziemcy, oraz miejscowa ary-

*) Jeden yen równa się 98 kop.

rej wodził właściciel domu publicznego, niejaki Meier Schrager. Organizowano np. rozbójnicze wprost napady na zebrania członków Kasy; władze jednak tolerowały te wybryki.

Zbliżał się czas wyborów. Brück wypisywał całymi dziesiątkami robotników, przekręcał umyślnie nazwiska członków Kasy, pod najrozmaitszymi pozorami odmawiał im wydania kart głosowania, wpisywał na członków wszelakie indywidua z pod ciemnej gwiazdy itd. Wszystko to przyczyniło się do wyprowadzenia z równowagi najspokojniejszych i najbardziej uległych.

Agitacya przedwyborcza, prowadzono z niesłychaną energią ze stron obydwóch, przyczem dokoła dr. Rubinsteina skupili się katoliccy klerykali i antisemici do spółki z żydowskimi szynkarzami, właścicielami domów rozpusty itd. W dniu wyborów panował wielki spokój, co doprowadziło do rozpaczy klikę Rubinsteina, chcącą koniecznie wywołać zaburzenia, a w następstwie interwencyę policyi i zgnębienie opozycyi. Około godz. 10 robotnicy przyłapali na gorącym uczynku wyciągania z kieszeni wyborcom kart głosowania jednego z naganiaczy Rubinsteina. Ten począł krzyczeć w niebogłosy, że go biją. Powstał zamęt, i to dało powód do wezwania wojska. Należy podnieść fakt, że pułkownik przekładał staroście, iż wojsko jest zupełnie niepotrzebne, zwłaszcza w liczbie przenoszącej ilość wyborców.

Widok wojska wzburzył tłumy, kiedy władze aresztowały studenta Zakrzewskiego, który przyjechał ze Lwowa, ażeby zebrać materyały, dotyczące nadużyć przy wyborach, tłum ruszył za nim z krzykiem. Nastąpiło zamieszanie. Z tłumu posypały się kamienie i głowy kapusty. Konnica przecwałowała dla postrachu.

Starosta zarządził przerwę w wyborach, ponieważ jasnem było, że przeciwnicy kliki Rubinsteina mają większość. To jawnie niesprawiedliwe zarządzenie jeszcze bardziej oburzyło tłum, który podążył przed sąd. Tam padł strzał, zabijając 17-letniego robotnika Kuśnierskiego. Po tym strzale dopiero nastąpiło wielkie rozjątrzenie. Wybito mnóstwo szyb i potłuczono latarnie. Aresztowano 50 osób.

Ale to wszystko nie zapobiegło porażce kliki Rubinsteina. Pomimo niesłychanych nadużyć i fałszerstw lista robotnicza przeszła 590 głosami przeciwko 409 Rubinsteinowców; i w ten sposób stanisławowska Kasa chorych została wydarta z rąk szajki korupcyonistów.

Od tygodnia funkcyonuje stale w Krakowie teatr ludowy. Niewielki budynek przy ulicy Krowoderskiej, w którym popisywały się przygodnie różne trupy przyjezdne, został odnowiony i przyozdobiony, a towarzystwo artystów pod kierownictwem p. Mullera ściąga na przedstawienia liczną publiczność. W przeddzień otwarcia teatru w salonach „Koła artystyczno-literackiego“ odbyło się zebranie grona osób z inteligencyi, zaproszonych w celu omówienia tak zadań teatru ludowego, jak i jego repertuaru. Na tem zebraniu, w którem wzięli udział przedstawiciele najrozmaitszych stronnictw, okazała się bardzo znaczna różnica zdań, tak że nie wiadomo, czy dyrekcya będzie mogła wysnuć jakieś wnioski praktyczne z dyskusyi zebrania. Niektórzy proponowali dawać sztuki z życia ludu — z wyraźnym morałem, inni chcieli repertuaru klasycznego, ktoś uważał za najstosowniejsze sięgnięcie po repertuar górnośląskich teatrów ludowych, jeszcze inni żądali wznawiania sztuk z przed pół wieku, kiedy niektórzy bronili repertuaru współczesnego. Dyskutowano też nad poszczególnemi sztukami. Szeroko np. omawiano znaczenie takiej „Emigracyi chłopskiej“ Anczyca, która jest dotychczas jeszcze uważana za typowy okaz wzorowej sztuki dla ludu. Stwierdzono w dyskusyi, że obecnie jest ona najzupełniejszym anachronizmem. Dziś, kiedy chłopi wyjeżdżają do Ameryki dziesiątkami tysięcy i mają możność poznania stosunków na miejscu, kiedy za pieniądze, zdobyte w Ameryce, wykupują grunta i dźwigają się ekonomicznie, kiedy w Ameryce poczynają rozumieć, czem jest godność ludzka — dziś wobec tego wszystkiego „Emigracya chłopska“ może tylko zrażać lud do teatru.

W dyskusyi nad repertuarem teatru ludowego większość mówców w dziwny sposób utożsamiała lud miejski z wiejskim, nie odróżniając wcale naturalnej publiczności teatru ludowego — robotników, rzemieślników, handlowców itd. od masy siermiężnej, która w krakowskim teatrze ludowym może bywać jedynie wyjątkowo. To też sztuki „ludowe,“ sięgające swą treścią stosunków pańszczyznianych, przedstawiające te stosunki w sposób najzupełniej nieprawdopodobny, mogą wywrzeć wpływ zupełnie niekorzystny. Chłopi o głupkowatych minach, zamiatający czapkami kurz przed państwem — te postacie, występujące często w naszych sztukach „ludowych,“ zasługują od dawna na pogrzebanie; teatr ludowy powinien wziąć stanowczy rozbrat z utworami, wyprowadzającymi je na scenę. A zdaje się, że krakowski teatr ludowy chce w dalszym ciągu podtrzymywać tendencyę takich rzeczy, jak „Łobzowianie“ itp. Zadaniem sumiennej krytyki jest też zwrócenie go z tej drogi.

Zanosi się na to, że Kraków będzie miał przyzwoitą bibliotekę publiczną. Jakto? — spyta czytelnik— czyżby Kraków, te „Ateny polskie,“ nie posiadał dotychczas księgozbioru publicznego? Tak, biblioteki — i to nawet bardzo bogate— istnieją w Krakowie, ale bardzo trudno z nich korzystać. Olbrzymia biblioteka uniwersytecka słusznie uchodzi za jeden z cenniejszych księgozbiorów w Europie, biblioteka Akademii Umiejętności też jest niepospolitą książnicą, bogate zbiory istnieją i przy muzeum Czartoryskich i przy muzeum przemysłowem, ale z tego wszystkiego ma bardzo małą pociechę ten, kto chce czytać. Profesorowie uniwersytetów posiadają ten przywilej, że nikt im nie robi trudności, jeśli trzymają u siebie po 2—3 lata jakąś książkę. A ponieważ każdy z nich zabiera zwykle po kilkanaście tomów, przeto już dzięki temu faktowi nie można doprosić się conajmniej paruset książek, między któremi znajdują się i encyklopedye, i słowniki, i różne wydawnictwa chwilowe. Następnie czas, w którym można korzystać z bibliotek, jest niezmiernie ograniczony, wskutek czego dla wielu osób te księgozbiory są zupełnie niedostępne.

Wielkiem utrudnieniem jest panujący w nich nieporządek. Żądanie katalogu w takiej bibliotece jest uważane niemal za osobiste obelgi. Kiedy się nareszcie udobrucha posługacza i otrzyma od niego katalog, dowiadujesz się ze zdziwieniem, że w katalogu niema wcale tego, czego szukasz. Tak np. w katalogu biblioteki uniwersyteckiej można nie znaleźć wydawnictwa tejże biblioteki, albo Akademii Umiejętności. Po kilkakrotnej interpelacyi zdziwionego czytelnika posługacz przebąkuje, że może w innym katalogu znajdzie się ta książka. Wydostaje się więc inny katalog, sporządzony nie wiadomo w jakim celu, ale i tu książki niema. Po mozolnych poszukiwaniach przynosi posługacz jeszcze jeden katalog, w którym nareszcie książka jest. Posługacz wyrusza po nią i w jakie 20—25 minut wraca z oświadczeniem, że nie może jej znaleźć. Straciłeś więc czytelniku parę godzin i w rezultacie masz gorzkie rozczarowanie. A ile to czasu i sprytu trzeba na

---

stokracya, dygnitarze lub wyżsi urzędnicy. Nawet bogaci kupcy i przemysłowcy nie odważają się wsiadać do tych wagonów, nietyle przez oszczędność, co prawdopodobnie ze zwyczaju, pozostałego z niedawnej przeszłości, kiedy nawet materyał i forma odzieży była dla rozmaitych klas prawem przepisana.

W przedziale zastałem jakiegoś Japończyka, który pośpiesznie zdzierał z siebie europejskie ubranie, aby wciągnąć lekkie, powiewne, japońskie „kimono.“ Gdybym miał takie, sam byłbym wdział. W głębi wyspy wciąż je nosiłem, gdyż jest to odzież bardzo prosta i wybornie zastosowana do tutejszego gorącego, wilgotnego klimatu. „Kimono“ jest wcale przyzwoitym strojem, choć człowiek czuje się w nim, jakby cokolwiek „nieubranym“. Zszyty jest z prostych, całych sztuk materyi, której wcale nie tknęły nożyczki. Zwieszające się, kwadratowe rękawy przedstawiają małe woreczki, które wybornie zastępują kieszenie. Nosiłem w nich nawet rewolwer. Piękne panie trzymają w tych rękawach chusteczki do nosa, wachlarze, flakoniki, łakocie, słowem cały budoar. Taki rękaw ma jeszcze tę wielką dogodność, że bardzo łatwo wciągnąć w jego otwór rękę, pograć palce pod pachą, gdy zmarzły, lub złapać jakiego dokuczliwego owada, których moc w tym kraju, błogim dla wszystkiego, co żyje.

Lud prosty nie nosi w lecie nic, prócz „kimono“ i... wąziutkiego pasa wstydliwości. Kobiety, zamiast tego pasa, owijają dokoła bioder sztukę tkaniny. Bogaci wdziewają na ciało krótką koszulkę i obszerną spódnicę, zszytą pośrodku w kształcie szarawarów. Jest to ubiór galowy; szarawary znaczą tyle, co u nas frak. Niegdyś na dworach cesarskich oraz Daimosów używano długich, niezwykle sutych szarawarów, których końce włokły się daleko po ziemi. „Kimono“ opasuje się pasem, za którym noszą Japończycy zegarki, notesy, portmonetki, papierośnice i nie gubią ich nigdy. Kobiety mają dwa pasy, jeden wązki dla podtrzymania odzieży, drugi dla ozdoby, zawsze ładny, malowniczy, szeroki, zadzierzgnięty na plecach w wielką ukośną kokardę bez końców. Zwie się on „obi“ i stanowi główną chlubę i troskę japońskiej strojnisi. Na nogach drewniane sandały na wysokich podstawkach.

Ubranie Japończyków jednostajne, zazwyczaj ciemne, krojem i kolorem wcale się nie różni w rozmaitych okolicach kraju.

Mój towarzysz podróży nosił już jednak europejskie obuwie i bieliznę. Idąc spać, zrzucił wszystko i wdział jedynie jasne, nocne „kimono“. Robił to zupełnie otwarcie przy mnie, gdyż w Japonii na nagość inaczej się zapatrują, niż u nas.

Pamiętam, jak raz w Omaba, zwiedzając siarczane kąpiele, wszedłem wypadkiem do żeńskiego przedziału i znalazłem się wśród grona młodych „jo“ i „muśume“, pozbawionych nawet figowego listka. Okazało się, że tylko ja sam się zmieszałem; one, nawet nie mrugnąwszy okiem ubierały się dalej. Na brzegu tymczasem policyant spędzał opryskliwie gołych, muskularnych gentlemanów, którzy wyszli z łaźni pogapić się na nasz parowiec. Jestem pewny, że zrobił to na żądanie szczapowatych Angielek, które były przyjechały ze mną.

Choć byłem bardzo zmęczony, nie mogłem długo zasnąć. Pociąg rzucał się, kołysał, trząsł na zakrętach i zjazdach, jak wściekły, gdyż Japończycy jeżdżą szybko, a koleje mają pobudowane w takich wertepach, jakie znaleźć można jedynie we Włoszech lub Szwajcaryi.

Myślałem wciąż jednak z rosnącą radością, że z każdą wiorstą przebytą bliżej jestem kraju.

(C. d. n.)

to, aby znaleźć w katalogu potrzebną ci książkę z geografii Polski, jeśli ją umieszczono w dziale „strategii.“

Zarząd Muzeum Narodowego od dawna już nosi się z zamiarem zaradzenia brakowi biblioteki dla szerszego ogółu, w tym celu postanowił założyć książnicę publiczną, dostępną dla wszystkich bez żadnych ograniczeń. Zamiar ten ma być wkrótce w czyn wprowadzony, zarodkiem zaś biblioteki będzie księgozbiór przy muzeum hr. E. Czapskiego wraz z pewną znaczną biblioteką prywatną, na ten cel ofiarowaną. Za parę miesięcy biblioteka publiczna stanie na użytek ogółu, który powita ją z wdzięcznością. Należałoby tylko od samego początku postarać się o zapobieżenie wszystkim tym brakom, na jakie cierpią wielkie nasze dawne księgozbiory.

Zamianowanie dr. Piotra Chmielowskiego profesorem literatury polskiej na wszechnicy lwowskiej wywołało powszechną radość tak w kołach słuchaczy, jak i w opinii publicznej kół postępowych. To też pierwsze kroki nowego profesora wywołały szereg sympatycznych owacyj, w których brali udział przedstawiciele rozmaitych sfer. Koło literacko-artystyczne urządziło bankiet powitalny na cześć prof. Chmielowskiego. Na zaproszenie „Koła“ zgromadziło się kilkudziesięciu przedstawicieli lwowskiego świata naukowego i dziennikarskiego. Byli tam profesorowie uniwersytetu i politechniki, nauczyciele szkół średnich, redaktorowie dzienników itd. W mowach, które wypowiedziano na bankietach, odzwierciedlała się ta ufność i radość, z jaką społeczeństwo przyjmuje znakomitego krytyka na nowem stanowisku. Prof. Chmielowski odpowiedział każdemu z mówców słowami szczerego podziękowania, przyczem wyrażał żal, że tak późno spotyka go szczęście przemawiania z katedry do młodzieży. Wspomniawszy o swych zadaniach, prof. Chmielowski podniósł, że celem jego pracy nie będzie samo tylko szerzenie wiadomości literackich, ale zarazem dążenie, aby młodzież przejęła się duchem i tradycyami naszych pisarzy najlepszych. Późno obejmuje tę katedrę, ale rad jest, że resztę swego życia poświęca młodemu pokoleniu.

Na wykłady prof. Chmielowskiego zapisała się niebywała dotychczas liczba słuchaczy — około 600 — którzy zgotowali nowemu profesorowi gorącą owacyę przed wykładem inauguracyjnym.

*Dalek*i.

Szkoła mieszana *)

Jedną z kwestyj, wywołujących wiele oburzenia, sporów i powątpiewań, jest poruszona od niedawna u nas, a prawie już rozstrzygnięta na Zachodzie— sprawa wspólnej nauki dla chłopców i dziewcząt. Gdy mowa o niej, przeciwnicy występują z całym szeregiem zarzutów, między którymi można znaleźć i powoływanie się na zagrożoną jakoby moralność; zwolenicy zaś mogą przytoczyć na obronę cały szereg faktów, świadczących wymownie, że koedukcya daje jak najlepsze pod każdym względem rezultaty, lecz nie poprzestają oni na faktach; po za temi stoi jeszcze rozumowanie, oraz pewien sposób pojmowania życia i moralności. Zastanówmy się przedewszystkiem, jaka jest strona ideowa w propagowaniu szkół mieszanych? jaką powinna być szkoła? ta instytucya, w której kształcą się umysły, urabia wola i podnosi uczucie.

Dopóki sprawa wychowania nie stała się kwestyą palącą, zostawiano ją w ręku ludzi niepowołanych i nie troszczono się o to, jaki oni nadadzą jej kierunek. W imię wiekowej tradycyi, głoszącej, że białogłowa jest istotą niższą od mężczyzny i do innych celów przez naturę przeznaczoną—wychowawcy rozdzielili szkołę: na szkoły dla płci słabej i szkoły dla płci silnej. Ten podział utrzymał się, utrwaliło go przyzwyczajenie, usypiające wszelkie zapytania, wszelki bunt, wszelką myśl nową. Więc chociaż poziom nauczania w szkołach dla dziewcząt podniósł się cokolwiek z biegiem czasu, choć dozwolono im kusić się o wyższe wykształcenie, jednak wspólna szkoła średnia nie przestała być u nas ideałem, o którym pozwalają sobie marzyć zaledwie nieliczne jednostki. Większość zaś, przyzwyczajona do dawnego typu szkoły, nie zdaje sobie sprawy z możliwości zmiany, lub nie myśli o niej wcale. A jednak o doniosłości wychowania i nauki z dniem każdym przekonywamy się coraz liczniej: uznaje to każdy, kto chciałby widzieć ludzkość doskonalszą, komu na sercu leży usunięcie przewagi siły brutalnej, ciemnoty umysłowej z jednej strony, a lękliwej słabości i idącej z nią w parze przebiegłości chytrości, schlebiania sile, braku odporności i hartu — z drugiej, kto widzi w wychowaniu jedną z dróg, wiodących do wyzwolenia szlachetnej istoty ludzkiej, drzemiącej w każdym człowieku. Czy więc sztuczne oddzielenie obu płci w okresie, w którym one rozwijają się duchowo i fizycznie, słusznem jest? Ludzkość nie składa się z samych mężczyzn, ani też z samych kobiet; obie płcie w życiu spotykają się ze sobą ciągle, żyją razem, pracują, cierpią, cieszą się wspólnie. Jeśli więc ci ludzie mają stać się *lepszymi*, a życie ich wspólne bardziej harmonijnem i pięknem, muszą oni wyrastać i rozwijać się w jednakiej atmosferze, muszą znać się wzajemnie i wzajemnie na siebie oddziaływać.

Wiadomo powszechnie, jaką potężną dźwignię w życiu stanowi wspólna praca nad jakimś przedmiotem umiłowanym, lub choćby wzbudzającym zainteresowanie; wytwarza ona pomiędzy współpracownikami rzeczywistą sympatyę i snuje nić wspólności duchowej. W szkole wspólnej, przy wspólnej nauce, przeżywając razem najrozmaitsze walki wewnętrzne, których tak wiele przechodzi dorastająca młodzież; obie płcie nauczą się w sobie cenić i uszanować człowieka. Przy dzisiejszym systemie wychowawczym przeciętna, dorastająca dziewczyna widzi w chłopcu istotę nieznaną, owianą urokiem tajemniczości; tylko na wieczorkach, w towarzystwie spotyka ten obcy dla niej, a jednak zaciekawiający ją żywioł. Staje się on przedmiotem jej marzeń i myśli, jakimś owocem zakazanym, od którego oddziela ją cały szereg rozmaitych, surowych „nie wypada“; a jednak wie z książek i z obserwacyi, że gdy dorośnie—ten przedstawiciel innej płci stanie się może towarzyszem jej życia. Głowę ma więc zaprzątniętą myślami, chorobliwie pobudzającemi jej wyobraźnię. Z drugiej strony i dla chłopca dziewczyna jest istotą nieznaną, obcą. Po za siostrami, które nie należą do żadnej płci, z którymi łączą nieraz chłopców życzliwe i przyjacielskie stosunki — wszystkie inne dziewczęta są pannami: z nimi się tańczy, uprawia lekką rozmowę, „flirtuje“. Jakże śmiesznym wobec tego stanu rzeczywydaje się argument pseudo-moralistów, którzy w imię moralności powstają przeciw szkole mieszanej! Nie chcą oni wspólnej nauki dla młodzieży, nie mają zaś nic przeciwko ich wspólnej, po większej części denerwującej zabawie. Te same matki, które obawiają się dla córek kolegów i towarzyszów, patrzą z zadowoleniem, jak w dziewczątkach budzi się i kształci umiejętność podobania się mężczyznom, dar zręcznego prowadzenia rozmowy, wdzięk i układność ruchów. Moralność owa jest tylko okłamywaniem siebie, przypuszczam zresztą, że po większej części nieświadomem. Pseudo-moraliści wołają, że średnia szkoła mieszana jest niebezpieczną w okresie dojrzewania płciowego. Nie szkoła jednak, nie wspólna praca jest niebezpieczną dla młodzieży, lecz sztuczna atmosfera cieplarniana, która ją otacza. Niech właśnie w tym okresie przełomowym dziewczęta i chłopcy pracują razem, niech ich łączy prosty stosunek koleżeński, a być może to podziała uspokajająco na rozbudzoną wyobraźnię i podrażnione zmysły. W wychowaniu dziewcząt wszystko od kolebki jest skierowane ku temu, aby je wyhodować na samice, rzadko kiedy mówi się im o ich zadaniach ludzkich; jeśli same nie rozbudzą się i nie przejrzą, odrzucając cały balast, którym obciąża je tradycya — dorosłszy stają się skutecznym czynnikiem zastoju i bardzo dobrym hamulcem dla wszelkiej nowej myśli.

Lecz przypuśćmy, że zło daje się usunąć poniekąd i bez szkoły mieszanej, że poczucie obywatelstwa w dziewczynach może być rozbudzonem i w szkole odrębnej — w każdym razie pozostaje jeszcze brak wspólnego przygotowania do wspólnej pracy całego życia, do której sposobić się powinno razem dziewczęta i chłopców. Po przejściu przez wspólną szkołę średnią, która pozwoli im poznać się dokładnie, obie płcie przestaną być dla siebie zagadkowymi istotami, „rzadkimi zwierzątkami“, jak powiada Bjornson. Ten wpływ sięgnie jednak daleko głębiej w życie samo. Tak przygotowani mężczyzna i kobieta, staną do życia nie jako antagoniczne, wrogie, nieznające siebie siły, lecz jak towarzysze, mający wspólne cele i wspólne ideały. Stosunek wzajemny obu płci, tak wadliwy dotychczas i spaczony, pogłębi się, oczyści i wyszlachetnieje. Po za tym etycznym wpływem koedukacya ma jeszcze inne znaczenie. Dzięki wzajemnemu obcowaniu chłopców i dziewcząt każda z płci pozbywa się pewnych właściwych sobie wad: chłopcy zatracają szorstkość i brutalność, stają się delikatniejszymi i subtelniejszymi, dziewczęta zaś pozbywają się małostkowości, czułostkowości, charaktery ich hartują się, nabierają odporności i siły. Z takiego ścierania się cech ujemnych, właściwych płciom wytworzyć się może nowy typ człowieka. Jakim on będzie — orzec trudno, to pewne, że czystszą, hartowniejszą i bogatszą będzie miał duszę.

O wpływie koedukacyi p. Lucyna Hagman, długoletnia kierowniczka mieszanego gimnazyum w Helsingforsie powiada między innemi: „dziewczęta uczą się od chłopców większego krytycyzmu przy zdobywaniu wiadomości, większej samodzielności w użytkowaniu z nich, oraz nadawania wyraźniejszego kierunku zainteresowaniu się swojemu wiedzą. Chłopcy znów nabierają pod wpływem dziewcząt więcej rozwagi i zastanowienia, tracą nieco pewności siebie i zarozumiałości, które ustępują miejsca dojrzalszej samokrytyce, oraz większej wrażliwości na względy estetyczne i etyczne,“ dalej dodaje: „myśl i obyczaje stają się łagodniejszymi. Słabnie upodobanie do spirytualiów, zarówno jak skłonność do palenia tytuniu*).

A teraz nieco faktów. Koedukacya u nas jest kwestyą przyszłości, może zresztą niedalekiej. W całej Europie cywilizowanej została już wprowadzoną i wszędzie rezultaty jej są dodatnie. Posłuchajmy danych, jakich dostarcza nam obficie nagromadzony materyał faktyczny w odczycie p. Centnerszwerowej:

Szkoła mieszana, jak można się domy-

*) Artykuł niniejszy został wywołany odczytem p. Centnerszwerowej „Koedukacya w szkole średniej,“ na ostatniem posiedzeniu sekcyi wychowawczej w Tow. hyg. Prelegentka, gorąca zwolenniczka koedukacyi, przedstawiła w swej pracy gruntownie opracowaną historyę szkół mieszanych na Zachodzie.

*) Dane te czerpię z odczytu pani Centnerszwerowej.

ślać, powstać musiała najwcześniej w państwie, nieposiadającem krępujących uprzedzeń, a więc w Ameryce. Z wyraźnym i umotywowanym projektem szkoły mieszanej spotykamy się już w XVIII wieku; występuje z nim dziejopisarka angielska Katarzyna Macaulay Graham.

Jednak dopiero w 1858 r. zastosowano po raz pierwszy system koedukacyi w szkołach średnich w Ameryce; od tego czasu procent uczelni tego typu wzrasta nadzwyczaj szybko. Ciekawem jest zjawisko, że szkoła mieszana w Stanach Zjednoczanych powstała nie ze względów ideowych, lecz utylitarnych, i z biegiem czasu dopiero oceniono jej pedagogiczną oraz etyczną doniosłość.— W Europie natomiast wprowadzenie koedukacyi było wyrazem pobudek ideowych. Pierwszą szkołą mieszaną w Europie była otworzona w Sztokholmie przez rektora Palmgrena, który wierzył, że taka tylko będzie najlepiej odtwarzała warunki idealnego życia rodzinnego, w ten tylko sposób „najskuteczniej osiągnie się zamierzony cel, mianowicie: równoczesny fizyczny, moralny i umysłowy rozwój młodzieży“. Za Szwecyą i Norwegią, w której szkoła mieszana istnieje od 1884 r.. podąża Dania. Rozwija się ona wspaniale w Finlandyi. Pierwsze gimnazyum mieszane zostało otwarte w Helsingforsie w roku 1883. Obecnie szkół mieszanych w Finlandyi jest przeszło 30, a rezultaty, podawane przez p. Hagman świadczą, iż ten typ szkoły ma tam wielką przed sobą przyszłość. Obok Finlandyi pod względem rozpowszechnienia mieszanych szkół średnich stoi Szwajcarya. Koedukacya w „écoles primaires“ istnieje prawie we wszystkich kantonach. We Włoszech szkoły początkowe dla biednych dzieci są wspólne dla chłopców i dziewcząt, kobiety są również dopuszczane do liceów, gimnazyów. Ruch ten we Włoszech i Szwajcaryi rozpoczął się od 30 lat, w tej ostatniej inicyatywa wyszła z kant. Zurychskiego (1875). — We Francyi istnieje też znaczna liczba szkół mieszanych, to samo można powiedzieć o Anglii i Holandyi. Najoporniej pod tym względem zachowuje się „państwo bojaźni Bożej.“ W Niemczech szkoła mieszana spotkała się z oporem. A jednak niedawno badeńskie ministeryum oświaty zezwoliło na dopuszczenie kobiet do wszystkich męskich szkół średnich, zarówno realnych, jak gimnazyów klasycznych — po za tem dokonano próby wprowadzenia koedukacyi w ks. Oldenburskiem i wirtemberskiem.

Koedukacya rozwija się więc pomyślnie na Zachodzie, — przeciwnicy szkół wspólnych powinniby przeto przedewszystkiem zapoznać się z tymi faktycznymi danymi, a przekonają się, że wspólna nauka nie grozi moralności, przeciwnie podnosi jej poziom, wpływa zbawiennie na urobienie „człowieka“. Istnieją jednak organizacye, dziwnie uparcie trzymające się przeszłości. Przypuszczam, że nie wielu znalazłoby się szczerych ludzi, którzyby chcieli otwarcie przyznać, że pragną utrzymania atmosfery buduarowej, unoszącej się nad społeczeństwem, na której wytworzenie tak skutecznie wpływa obecna szkoła i życie. A jednak wielu przeciwnikom reformy wychowania zdaje się, że ona wpłynie na społeczeństwo szkodliwie: boją się jej ożywczego, odświeżającego tchnienia, boją się poważnego życia, w którem współpracować będą obok siebie, idąc ręka w rękę, mężczyzna i kobieta, — towarzysze, przyjaciele, ludzie.

N. M. J.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Odpowiedź.

Dla każdego, kto szczerze i gorąco ukochał młodość, jej siłę nieznużoną i płodną, jej rozpęd nieokiełznany i śmiały, jej barwne kwiaty świeżych uczuć, jej tętna bijące bogatem zdrowiem, jej odradzające tchnienia — jest zadaniem bardzo trudnem i przykrem stawiać na jej drodze swoją siwą głowę, jako ostrzegawczą latarnię. Bo prawie zawsze można się od niej doczekać: „na bok ze starym kagankiem!“ P. S. Brzozowski, występując w *Głosie* przeciw moim uwagom o najnowszym kierunku poezyi, nie krzyknął tak ostro, a nawet pozdrowił mnie bardzo życzliwie, wyraził tylko żal nad tem, że względem bojowników ostatniego zaciągu, którzy pędzą w przyszłość z rozwianym proporcem natchnionej i walecznej młodości, zachowałem się nieprzyjaźnie. „Jest jedna tylko rzecz dla nas bolesna i nie do zniesienia — powiada on — niezrozumienie i obojętność tych, w czyją myśl i w czyje serce wierzymy... Słowa wyzwalającego, słowa rozumiejącej miłości, a nawet słowa nieubłaganego, przenikliwego sądu nie znaleźliśmy tam, gdzie niezapomniany podpis Posła Prawdy spodziewać się tego przedewszystkiem pozwalał. Jeżeli zaś nie tu, więc nigdzie po za nami, więc oprzeć się nam tylko na samych sobie przystoi.“ Wyrzut jasny: nie kocham młodych duchów i nie rozumiem ich. Pierwszej jego połowy nie będę ważył i zasuszę ją sobie we wspomnieniach, jako pamiątkowy liść ostu. Kto bowiem nie umiał dowieść swych uczuć czynami, nie dowiedzie ich mową. Zdawało mi się, że cały mój snopek literacki jest związaną z różnych kłosów odą do młodości; zdawało mi się, że czytałem w ciągu mego redaktorstwa kilkanaście tysięcy nadsyłanych rękopisów z ciągłem pragnieniem odkrycia nowej siły i że dość liczną gromadkę młodych talentów z wielką radością wyprowadziłem na widownię; zdawało mi się nawet, że za długą i wierną przyjaźń pozyskałem przywilej mówienia im prawdy. Jeśli to było omyłką, dla zmiecenia jej wystarczy jedno gęsie pióro. Życie codziennie zajeżdża przed nasze siedziby na wozie ze skrzynią, w którą wrzucamy rozmaite śmiecie—należą do nich również złudzenia.

Zajnijmy się więc tylko przedmiotową stroną sporu.

Trudna to sprawa określać ogólnie rozmaite a ściśle nierozgatunkowane ryby, których najgłówniejszą cechą wspólną jest to, że pływają w jednym stawie. Burzyciele starej Bastylii estetycznej, którzy dotąd rozwalają jej mury i łamią zamki pod łącznem hasłem: „nowej sztuki“ i „nowej poezyi,“ stanowią mieszaninę różnolitą i różnoimienną. Nazwali się: dekadentami, nastrojowcami, schyłkowcami itd. Ribot objął ich mianem „symbolistów,“ posiadających, według niego, dwa rysy znamienne. Naprzód, nie chcą oni wyrażać oznaczonych pojęć i obrazów, lecz tylko nieuchwytne wzruszenia. Dlatego „używają zdań mglistych, uwydatniających czysty i pozbawiony treści stan uczuciowy: *jakiś* las, *jakieś* miasto, *jakieś* drzewo, *jakiś* rycerz, *jakiś* pielgrzym... Coś się dzieje, lecz gdzie i kiedy, nie wiadomo.“ Powtóre, w związku z tym celem nadają oni zwykłym wyrazom zmienione znaczenie lub ustawiają je w taki sposób, ażeby utraciły swój określony sens i wydawały się tajemniczymi.“ Ponieważ zaś pomimo tych przeistoczeń zachowują one nieco ze swego pierwotnego znaczenia, więc symboliści dobywają z przeszłości języka wyrazy przestarzałe, od wieków zapomniane lub tworzą zupełnie nowe, ażeby nimi swobodnie obracać. (*Psych. ucz.*, XIII).

Utwory takie znamy również w literaturze naszej. Znamy te rozlewne i rozwiewne obrazy malowane po zachodzie słońca, przy bladem świetle księżyca; te cieniami nocy otulone i straszne widma; te z mroków płynące szepty i jęki, które, jak grający na szczelinach i węgłach domu wiatr jesienny, swoich żalów jasno nie wypowiadają a trwożą i smucą. Wiemy, że czytanie takich utworów jest ciężkim trudem, a nieraz męczarnią. Są to twierdze. Zdania stoją obok siebie, jak szeregi warownych szańców i podziemnych krużganków, a każde słowo trzeba zdobywać natężonym domysłem i nigdy nie być pewnym, że ono nam się poddało. Ktoś zauważył, że właściwie to nie jest poezya, która używając mowy ludzkiej do wyrażania uczuć, musi posługiwać się dźwiękami z określonem znaczeniem, lecz nową postacią muzyki, w której głoski są nutami. Gdyby zamiast czytać te poemata, deklamowano je z odpowiednią śpiewnością, otrzymalibyśmy osobliwego rodzaju recitativa i doznawali podobnych wrażeń, jakie odbieramy, słuchając „Sonetów krymskich“ Mickiewicza w muzyce Moniuszki. Być może. Ale jeśli „symboliści“ nie chcą przejść całkowicie do dziedziny tonów i pragną pozostać w dziedzinie słów, to należy zapytać, czy oni w tej sztuce przedstawiają postęp? Wspomniałem dawniej, że zwierzęta, o ile znają poezyę, zdolne są tylko do nastrojowej. Widzimy ją również u ludów pierwotnych. Splatają one także wyrazy bez oznaczonego myślowo związku, a nawet dźwięki bez żadnego znaczenia (jak nasze tra-la-la), które wypowiedziane lub wyśpiewane w pewien sposób stają się sprężynami wzruszeń, nieraz bardzo gwałtownych. Czy więc powrót do takiej twórczości, chociażby podniesionej o całą różnicę środków artystycznych nowoczesnej kultury, nie jest ruchem wstecznym?

Jest on nim niewątpliwie z innego względu. Rozwój umysłowy naszego czasu posuwa się w kierunku wszechstronej demokratyzacyi. Dna nizin społecznych wydymają się ku szczytom gór, ku słońcu, ku czystemu powietrzu. Nie chcą one, bo nie mogą dłużej żyć w miazmatach i ciemnościach nieoświeconej i nierozjaśnionej głębi, wysysane przez grzyby i mchy niedoli. Z wyżyn zaś spływają ku nim ciepłe prądy współczucia, które potęgują i przyspieszają ten proces wyrównywania się powierzchni społecznej. I oto wobec tej wielkiej, w daleką przyszłość sięgającej przemiany, występuje nowa sztuka, która od owych nizin ucieka w podniebie, która oddziela się od nich obłokami tajemniczości, która swój arystokratyzm posuwa aż do pogardy dla tłumu, która stwarza sobie osobny język dlań niezrozumiały, która klucze do swych mistycznych objaśnień chowa w ponurej chmurze Olimpu. Czy ta jej kastowa duma, ta bóstwomania, to spoglądanie na świat z wysoko wzniesionych balonów artyzmu godzi się z ogólnem dążeniem czasu? Czy poezya, dająca w królestwie sztuki przytułek tym różnicom i przesądom, które rozwój kultury wygania z granic życia, może się nazwać postępem w stosunku do jej poprzednich okresów? Czy ona jest przędzą młodości? Wątpię.

Poruszamy się i pracujemy w ciemnościach, których nie zdołają pokonać przyrodzone siły człowieka; źrenice nasze zaledwie mogą uchwycić mdłe promyki gwiazd, zewsząd ogarnia nas nieskończona, wieczna noc; po co stwarzać jeszcze sztuczne zaćmienia tych skąpych i nikłych blasków?

Po co do języków Babelu świata dodawać nową, najmniej ze wszystkich zrozumiałą gwarę jakiegoś braminizmu poezyi, której ogół ludzi nie zna i nie pojmuje? Czy na tem zyska cokolwiek sztuka słowa lub karmione nią dusze, gdy zamiast „drzwi“. mówić będziemy „dźwirza“, a zamiast „okna“—„okieńce“, gdy sfabrykujemy osobny słownik dziwacznych i zagadkowych wyrazów, gdy pogwałcimy gramatyczne prawidła języka, gdy będziemy pisali „jeśliś łaskę ciekawa“, lub „krew napój rzeźne cielsko tobie warza“, gdy na każdy obraz artystyczny zarzucimy tak gęstą zasłonę, że przez nią nawet jego zarysy się nie wydostaną? Nie bukiety wonnych kwiatów, nie kielichy ożywczych napojów, nie szkatułki klejnotów, lśniących piękną grą świateł, podaje „symboliczny“ wieszcz zgromadzonej około niego rzeszy ludzkiej, lecz przynosi jej ze żmij fantastycznie spleciony koszyk orzechów, które ona rozgryza, łamiąc sobie zęby, w których pod twardą, a często pozłoconą kunsztownie łupiną zamiast ziarna znajduje robacze próchno. Utwory wszystkich wielkich epok poezyi przenikły szybko nietylko w dusze swego narodu, ale całego ucywilizowanego świata; znaczna część dzisiejszego symbolizmu przepływa po wierzchu tych dusz, nie wsiąkłszy w nie ani kroplą. Autor „Wyzwolenia“ i „Bolesława Smiałego“ jest bezsprzecznie dużym i oryginalnym talentem, ale pytam każdego, kto jest zdolny do rzetelnej względem siebie szczerości: ilu czytelników polskich zrozumiało te dramaty i czy śród obcych znalazłby się jeden, któryby w najlepszych przekładach odgadł ich treść?

Sama data nie dowodzi bynajmniej, że to, co ją poprzedziło jest gorszem a nawet starszem, bo postęp nie jest ruchem prostolinijnym, lecz zygzakowatym. W dzisiejszej poezyi dostrzedz można niezawodne oznaki rozwoju uwsteczonionego, przeciwko któremu zwracać się muszą ci, którzy kochają młodość, ale młodą i błogosławią prądy świeże, ale odświeżające.

Zaznaczyłem wyżej trudność określania przedmiotów wewnętrznie różnych a zewnętrznie związanych. W tej mieszaninie, którą Ribot — zresztą niedość trafnie — ochrzcił mianem symbolizmu, są pierwiastki wysokiej wartości, które może jeszcze nie składają nowego słońca, ale już stanowią jego świt. O nich w powyższych uwagach nie myślałem. Nie dotyczą one również p. S. Brzozowskiego, chociaż je wywołał. Czytałem jego prace pobudzające, w założeniach śmiałe, w wywodach ścisłe, a nieraz głębokie i zawsze jasne. Jakiem tedy powinowactwem on sam się łączy z tymi, których przeciwko mnie broni — nie wiem.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Nauki przyrodnicze

Eliasz Miecznikow: *Badania nad naturą ludzką— próbka filozofii optymistycznej.*

(Dokończenie).

Tylko pochodzenie to tłomaczy nam istnienie w ustroju ludzkim owych narządów szczątkowych, dziś niepotrzebnych, które kiedyś jednak u przodków, mniej lub więcej odległych, posiadały znaczenie fizyologiczne, pierwszorzędne. Te narządy, jak również znajdujące się u człowieka w okresie przemiany wstecznej, stały się z biegiem czasu, wśród warunków bytu rdzennie przeistoczonych, nietylko zbyteczne, ale nawet szkodliwe. Odziedziczył więc człowiek po przodkach swoich zwierzęcych wiele właściwości zgubnych, a natomiast nie zdołał rozwinąć w sobie dotąd właściwości, które byłyby dlań pożyteczne. Najbardziej uwydatnia się to może w instynkcie społecznym, dotąd jeszcze bardzo słabo rozwiniętym. Jednem słowem, natura ludzka nie przystosowała się w stopniu pożądanym do warunków bytu rzeczywistego.

Tysiące lat przeżyła ludzkość, nie posiadając wiadomości naukowych o naturze swojej. Odczuwać jednak musiał człowiek bardzo wcześnie udręczenia, wypływające z tych sprzeczności, wcześnie też zaczął szukać środków łagodzących je. W zaraniu kultury największa sprzeczność, polegająca na grozie śmierci nieuniknionej, pobudziła dziecięcą wyobraźnię człowieka do budowania pałacu kryształowego, sięgającego sklepienia niebios. W ten sposób powstaje wiara, że śmierć nie jest bynajmniej kresem istnienia świadomego, lecz przejściem do życia innego, do nieśmiertelności.

W wierzeniach pierwotnych życie pośmiertne niewiele się nawet różni od życia doczesnego; dopiero z czasem wyobrażenia o tem życiu przyszłem rozwijają się, doskonalą i dochodzą do twierdzeń o nagrodzie dla dobrych i karze dla złych.

Przychodzi jednak czas, w którym dojrzewająca ludzkość kruszy utwory kryształowe wyobraźni i zwraca się do pomysłów filozoficznych. Życie przyszłe stało się też osią, dokoła której obracają się pierwotne układy filozoficzne. Tym sposobem religia styka się z filozofią u źródła wspólnego, którem jest śmierć. Wprawdzie stopniowo pomysły filozoficzne rozwijają się, potężnieją, najczęściej jednak wkraczają na manowce spekulacyj metafizycznych, jałowych albo prowadzą do agnostycyzmu.

Tak, czy owak, owe pomysły padają koniec końcem w lodowate objęcia rezygnacyi.

Ani w pomysłach religijnych, ani w filozoficznych, usiłujących przedewszystkiem zwalczyć największą sprzeczność natury ludzkiej, wytworzoną przez obawę śmierci, nieznalazła ludzkość lekarstwa niezawodnego i powszechnego. Nauka wykrywa i bada sprzeczności natury ludzkiej, wykazuje ich najogólniejszą przyczynę w pochodzeniu zwierzęcem człowieka. Gdyby jednakże na tem tylko poprzestała, gdyby ograniczyła się na przepowiadaniu chwili bardzo odległej, w której za sprawą czynników potężnych przyrody natura ludzka przystosuje się całkowicie do warunków bytu, to niewątpliwie nieposiadałaby tej tarczy, od której odbijają się pociski, miotane na nią przez napastników. Nie umilkłyby narzekania na naukę tych, którzy się skarżą, że odbierając wiarę w życie przyszłe, daje ona wzamian pustkę, przerażającą śmierć; nie stłumiłaby wtedy wrzasku puszczyków, głoszących jej bankructwo: nie zamknęłaby ust pesymizmowi, powtarzającemu ciągle napis z bramy piekła Dantejskiego: „lasciate ogni speranza!“

Lecz nauka nie zatrzymała się ani na chwilę: poszła i idzie dalej. Stwierdziwszy, wbrew orzeczeniom racyonalizmu czasów różnych i odcieni wszelkich, że życie nie może stosować się bezkarnie do natury ludzkiej, obarczonej sprzecznościami wielorakiemi, podała sposoby skuteczne usunięcia wielu tych sprzeczności, wskazała możliwość złagodzenia wszystkich.

Z piersi ludzkiej wydobyło się może najwięcej skarg bolesnych, na śmierć nieubłaganą, na starość niedołężną, na choroby zagrażające na każdym kroku istnieniu człowieka.

O chorobach panowały długo wyobrażenia mylne, zaczerpnięte z pomysłów religijnych. Luter mienił dżumę sprawą czarta, a do dziś dnia spotykamy jeszcze ślady dawnych wyobrażeń. Powolnie, stopniowo zdobywała nauka pojęcia prawdziwe o chorobach. Jeszcze Schopenhauer wyrzekał na świat ten najgorszy, na którym najmniejsza, niedająca się wykryć, zmiana powietrza, sprowadza mór, zabierający tysiące ofiar. Oczywiście, było to odbiciem pojęć nauki ówczesnej o chorobach zakaźnych.

Geniusz Pasteura powołał do życia naukę nową — bakteryologię. Za jej sprawą dowiedzieliśmy się dopiero o istotnej przyczynie znacznej ilości chorób. To poznanie ułatwiło znakomicie walkę ze złem, wywołało doniosły przewrót w medycynie. Zmalała niesłychanie liczba chorób, towarzyszących np. ranom, lub porodom; dżuma i cholera przestały być tak straszne; surowice lecznicze zmniejszają znacznie żniwo śmierci. Jeżeli nauka nie wykryła dotąd jeszcze środków, zwalczających bezpośrednio różne choroby, to w każdym razie umie już przeciwdziałać ich szerzeniu się sposobami, o których poucza hygiena. Pomimo jednak wyników błogosławionych nie ustają narzekania na naukę. Cóż zyskują ofiary wydarte śmierci, kiedy oczekuje je niedołężna starość?

Nauka mogła skuteczniej zwalczać choroby dopiero wówczas, kiedy dokładniej poznała ich przyczyny i istotę. A o starości do obecnej chwili wie ona bardzo niewiele. Zdobyła już jednakże uogólnienie dość ważne. Starość taką, jaka dziś istnieje, sprawiedliwie można nazwać chorobą, gdyż zwyrodnienia starcze posiadają wiele cech wspólnych ze stanami patologicznymi, spotykanymi w innych okresach życia. Tym sposobem wykrywając przyczynę i istotę tych zwyrodnień, można wskazać sposoby, zapobiegające zwyrodnieniu starczemu. Zrobiono już nawet wiele w tym kierunku, wyświetlając najczęstsze powody stwardnienia tętnic, tak zwykłego w starości. Nauka przeto, uważając słusznie ten okres życia za chorobę, może ją zwalczać i zamienić powszechną dziś starość patalogiczną na starość fizyologiczną, z którą dotąd spotykamy się tylko wyjątkowo. Po zwalczeniu chorób, po zamianie starości patologicznej na starość fizyologiczną pozostaje jednak ludzkości udręczenie najstraszniejsze — śmierć. Czyż wiedza dojdzie do tego, żeby Atropos bezlitośna wypuściła z rąk okrutne nożyce, przecinające nić życia ludzkiego.

Jeszcze mniej niż o starości wie nauka o śmierci. Wie jednakże o niej rzeczy, „o których nie śniło się filozofom“. Wie np., że śmierć nie jest prawem stałem przyrody. Jestestwa jednokomórkowe przy warunkach pomyślnych, mnożące się do nieskończoności przez podział, są względnie nieśmiertelne.

Jednakże u niższych ustrojów wielokomórkowych, a więc i u człowieka oprócz komórek takich, jak nasienie i jajko,—także względnie nieśmiertelnych, wszystkie inne umierają. Śmiertelne są przeto i komórki nerwowe, od których zależy świadomość. Z tego wynika, że nauka nie może obiecywać ludziom nieśmiertelności za przykładem wyobraźni, stwarzającej byty nadprzyrodzone.

Z tem wszystkiem wykrywa ona, że obecnie śmierć niemal wyłącznie pochodzi z gwałtu, choroby, jednem słowem jest przypadkowa. Nauka, zwalczając kolejno sprzeczności natury ludzkiej, usuwając choroby, zamieniając starość obecną, niedołężną na starość fizyologiczną, a tem samem przedłużając o wiele życie ludzkie, może doprowadzić do śmierci naturalnej, która dziś prawie nie istnieje.

Czy to wszystko przecież złagodzi grozę śmierci nieuchronnej.

Już nieraz utrzymywano, że żyć krócej, lub dłużej, to właściwie wszystko jedno.

Nauka przypuszcza, i przypuszczenie to uzasadnia, że nie jest to wszystko jedno, że przedłużenie życia możliwe w granicach dość znacznych, sprzyjać może rozwinięciu się u człowieka instynktu śmierci równoważącego instynkt samozachowawczy. Ten instynkt śmierci, który sprawi, że człowiek umierać będzie, zaspokoiwszy instynkt życia tak, jak zaspokaja instynkt głodu, nie jest bynajmniej wytworem wyobraźni, nie jest płodem spekulacyj, od których nauka się odwraca. Spostrzeżenia i doświadczenia, prowadzone ściśle według metody naukowej, wykryły istnienie takiego instynktu śmierci u owadów jednodniowych, żyjących zaledwie kilka godzin w stanie wykształcenia zupełnego. Skoro instynkt taki istnieje w przyrodzie, to istnieje także potencyalnie u człowieka, połączonego węzłami silnymi z resztą ustrojów. Istniejąc potencyalnie, może się rozwinąć doskonale przy warunkach sprzyjających.

Nauka, stając w obliczu śmierci, tej najstraszniejszej sprzeczności natury ludzkiej pamięta, że, chcąc się z nią zmierzyć skutecznie, trzeba przedewszystkiem pokonać wszystkie inne sprzeczności. Tym sposobem wytyka ona ludzkości najbliższe zadanie życia: jest niem pokonanie i opanowanie wszystkich sprzeczności, tkwiących w naturze ludzkiej. W tej naturze tak oswobodzonej przez naukę, znajdziemy dopiero wskazówki życia.

* * *

W przedmowie do swej pięknej książki zastrzegł Miecznikow, że przeznacza ją dla tych, którym nie jest obcą biologia. Wiedział niezawodnie, że obruszy się niejeden, usłyszawszy np. o pożytku względnym żołądka, który przywykł uważać za narząd może najszacowniejszy. Wiedział także, że wielu słuchać będzie z niedowierzaniem o surowicy przeciwko starości, o starości fizyologicznej, o instynkcie śmierci, mogącym się rozwinąć. Przewidywać również należy, że wywody uczonego biologa nie trafią do przekonania tych, którzy, choć krzywią się niemiłosiernie, wychylają jednak do dna czarę piołunu, podawaną przez pesymizm. Cóż na to poradzić? Toć to chyba także wina sprzeczności natury ludzkiej, że tłum obojętnie, nieraz wzgardliwie depcze perły cenne, rzucane przed nim szczodrą garścią nauki.

Nauka gasi wprawdzie owe ogniki błędne, nikłe, niekiedy urocze, które płomienna wyobraźnia i myśl potężna zapalały z konieczności przed ludzkością biedną, trawioną zagadką bytu, nękana grozą pustki grobowej. Mamyż jej za to urągać? Ogników błędnych żałować? Przenigdy! Nauka zapala ogień wspaniały; dopiero przy blaskach tego ognia ludzkość może odczytać odpowiedzi na pytania: „skąd przychodzimy?“—„dokąd idziemy?“ W żarze tego ognia spłoną doszczętnie głoski, składające się na wyraz okrutny: „ignorabimus!“ W promieniach tego ognia, sięgających w bezmiar, niema miejsca dla rezygnacyi, stojącej nieruchomo z rękami załamanemi niedołężnie.

Chwała Wam, wy, prometeusze, rozpraszający mroki otchłanne! Wy, duchy światłości, podsycające tchnieniem potężnem ogień wiekuistej nauki!

A. Z.

NOTATKI NAUKOWE.

— F. Pécaut: *Quinze ans d'éducation.* Paris, 1903. Delagrave.

Jest to książka niewielkiej objętości, zawierająca treściwe notatki pogawędek, jakie w ciągu lat pietnastu miewał wielce zasłużony a mało po za granicami Francyi znany pedagog, Feliks Pécaut, kierownik szkoły normalnej, żeńskiej w Fontenay-aux-Roses, pod Paryżem, zmarły przed laty pięciu.

Ażeby wyjaśnić znaczenie działalności Pécaut'a, należy uprzytomnić sobie dzieje Francyi z r. 1880, kiedy po zagojeniu ran odniesionych, zapłaceniu olbrzymiej kontrybucyi wojennej, zreorganizowaniu armii, wzięto się do reformy szkolnictwa, opanowanego w czasach Cesarstwa przez kongregacye. Należało nietylko zreformować, ale stworzyć wprost szkoły całkiem nowego typu, ku czemu nie było ani tradycyi, ani doświadczenia, ani personelu nauczycielskiego, ani budynków szkolnych. Wtedy to Juliusz Ferry wydobył z ukrycia człowieka nieznanego, byłego pastora protestanckiego, którego się współwyznawcy wyparli z powodu przekonań zbyt liberalnych w dziedzinie teologii — Feliksa Pécaut. Prowadził on wówczas w głębi dzielnicy batiniolskiej mały pensyonat chłopców, powołano zaś go do kierowania wykształceniem 60 młodych dziewcząt i kobiet, zebranych z całej Francyi a mających następnie w szkołach normalnych, niższych formować nauczycielki elementarne dla szkół ludowych nowego typu—świeckich i neutralnych w kwestyach religii. Te kandydatki nie miały ani odrobiny doświadczenia pedagogicznego, ale za to wiele zapału i dobrej woli. Przybyły do Fontenay-aux-Roses, gdzie wykłady odbywały się w zbudowanych naprędce pawilonach drewnianych, a wieczorem rozchodziły się po trzy lub cztery z latarką w ręku do pokoików najętych przez zarząd przy rodzinach, w okolicy szkoły mieszkających. Posiadały jednak rzecz lepszą, niżeli wspaniałe gmachy, miały bowiem niezrównany dobór profesorów, jak Vidal-Lablache, Darlu, Compayré, a po nad to przyjeżdżali z Paryża Croiset, Sorel, Ch. Bigot, Martine, Séailles, Boutroux i inni mniej słynnych nazwisk. Ale duszą zawsze był mały, suchy Pécaut, z twarzą ascety i wzrokiem przenikliwym.

„Bałam się strasznie z początku jego wzroku — opowiada jedna z byłych jego uczennic — wszelkie udawanie, małe kłamstewka, szkolne podstępy, na nic się wobec niego nie zdawały, wszystko odgadywał swą głęboką znajomością duszy ludzkiej. Nie sposób było z nim inaczej postępować, jak szczerze i otwarcie. Zresztą był taki dobry...“

A więc zanim usta otworzył i nie potrzebując karcić, umiał utrzymać ład, a karność polegała na szacunku, jaki wzbudzał zarówno w uczniach, jak i w profesorach. Programy dobrze obmyślane i wypełnione przez literaturę, nauki przyrodnicze, pedagogikę i etykę, uprawiano przeważnie w formie samodzielnych wypracowań. Pécaut był zawziętym przeciwnikiem nauki książkowej, martwej, tych idei, abstrakcyj, ogólników i formułek, zamykających umysł w ciasnem kole pojęć oderwanych i najczęściej przestarzałych. Uważał, że celem wychowania jest wytworzenie istot samodzielnych, szczerych i działających. „Naszym obowiązkiem — powiadał — jest ustawiczny wysiłek woli i energii, trzeba żyć nie jak automat lub manekin, ale jako jednostka świadoma dążeń i potrzeb swego kraju i swojej epoki.“ To też w pogawędkach, jakie miewał codziennie od godz. 7 do 8 rano z całą gromadką 60 uczennic, wybierał tematy „z życia,“ poruszając wszelkie kwestye, mogące interesować przyszłe wychowawczynie, a więc: sztuki piękne, literatura, religia, nauki przyrodnicze, wypadki polityczne, słowem wszelkie kwestye bieżące z dziedziny naukowej, literackiej, artystycznej lub społecznej. Nie był to nigdy wykład, lecz w dokładnem tego słowa znaczeniu pogawędka, w której wywoływał dyskusye, zachęcał nieśmiałe do wyrażania swego zdania, streszczał poglądy wyrażone bezładnie i pobudzał do oceniania zjawisk i ludzi nie ze swego osobistego, ciasnego punktu widzenia, ale ze stanowiska wyższego, ogólno-ludzkiego.

Te notatki, zawierające temat do pogawędki w 10, 20 lub co najwyżej 30 wierszach, są oczywistym dowodem, ile wychowawca może znaleźć w życiu bieżącem treści do pogadanek, interesujących zarówno umysł, jak serce, podnoszących ducha i rozwijających najszlachetniejsze uczucia, bez uciekania się do rozmyślań mistycznych i moralności opartej na pozagrobowej karze i nagrodzie. Nie dziw przeto, że pogawędki te pozostały dla jego uczennic wspomnieniem promiennem, bo jak powiada jedna z nich: „dawały nam do myślenia na dzień cały.“

Z.

LITERATURA I SZTUKA.

Bernard Lazare.

Umarł w 38 roku życia, w pełni sił męzkich, chęci do pracy i walki... Umarł tak prędko po Zoli. I gdy tamtego tysiące odprowadzały do grobu, cześć składając nietylko wielkiemu pisarzowi, lecz również, i przedewszystkiem, odważnemu, wytrwałemu szermierzowi sprawiedliwości, obrońcy niewinnie skazanego Dreyfusa — ten zszedł ze świata prawie niepostrzeżoy, i mało kto wie, kim był. A jednak w historyi tej walki o człowieka Lazare'owi należy się miejsce równie zaszczytne, jak Zoli: faktycznie bowiem, on to ze wszystkich najpierwszy powziął podejrzenie, że Dreyfusa skazano niewinnie, on pierwszy wydał broszurę, w której usiłował z wielką przenikliwością rozwiązać zawikłany węzeł sprawy, a i potem, kiedy już inni, bardziej wpływowi, ujęli sprawę w swe ręce, odzywał się jeszcze kilka razy w chwilach najkrytyczniejszych, z niepospolitą odwagą demaskując kłamstwa i dodając zniechęconym otuchy.

Bernard Lazare był Żydem, nic więc dziwnego ostatecznie, że się ujął za cierpiącym Dreyfusem. Chociaż—wielu było Żydów, którzy dla świętego spokoju, albo z wyrachowania politycznego, by nowym objawem solidarności nie powiększać niechęci otoczenia dla siebie, woleli umyć ręce od wszystkiego; jeszcze zaś więcej było takich, którzy odczuwali wzruszenie i współczucie, bo szło o człowieka z towarzystwa, o Żyda, który zaszedł wysoko i mógł zajść jeszcze wyżej, dla których zdolność do współczucia i solidaryzowania się z cierpiącymi na tem się kończyła. Lazare był Żydem innego typu, gorąco przywiązanym do swego narodu —przedewszystkiem dlatego, że ten naród jest prześladowany. To uczucie, i popęd do zastanawiania się nad zagadnieniem przyszłości Żydów wobec wzrastającego wszędzie antisemityzmu — popchnęły go nawet na krótką chwilę w objęcia syonizmu. Właściwie wyrażam się nieściśle: Lazare bowiem interesował się syonizmem póty tylko, póki nie okazało się wyraźnie, czem jest syonizm, jako stronnictwo społeczno-polityczne. Wziął udział w pierwszym — i tylko w pierwszym — kongresie bazylejskim, cieszył się, że Żydzi zdają się budzić do nowego życia; ale bardzo prędko poznał się na blagierskiem wstecznictwie Hirszlów i Nordauów, zginających się w pałąk przed sułtanem, kokietujących z rabinami i łaszących się wszystkim możnym tego świata, i zerwał z nimi całkowicie. Natomiast oddał się studyom nad położeniem nędznych i głodnych mas żydowskich w krajach wschodnio-europejskich. Zdążył ogłosić w jednym z zeszytów *Cahiers de la Quinzaine* studyum o Żydach w Rumunii, sumienne, prawdomówne, odważne, oparte na badaniach źródłowych i naocznych. W dalszym ciągu miał pisać o Żydach w Galicyi, i w tym celu odbył w roku zeszłym podróż po tym kraju. Zamiarów tych wykonać już nie zdążył. Ale zostawił po sobie dzieło większe, cenne

i pełne prawd żywotnych zarówno dla Żydów, jak dla narodów, wśród których oni żyją: historyę antisemityzmu *). Z wielką erudycyą i umiejętnością wykładu bada on tam stopniowy rozwój antijudaizmu od najdawniejszych aż do naszych czasów, odsłania jego przyczyny religijne, społeczno-ekonomiczne, polityczne, zdziera później całą maskę pseudo-naukową, którą antisemityzmowi włożył wiek XIX, obala ową tak modną teoryę i psychologię mas, którą dzisiaj mają na każde zawołanie nietylko Drumondowie i Picardowie. Ale Bernard Lazare, ten Żyd, przesiąknięty nauką i cywilizacyą nowożytną oraz ogólno-ludzkiemi ideami wyzwolenia, nietylko umie oskarżać otoczenie chrześciańskie, odsłaniać bez wahania, ze spokojem i bezstronnością historyka jego ciemnotę, fanatyzm, okrucieństwo i podstępy; on umie być bezstronnym i sprawiedliwym względem własnego narodu, umie mówić i jemu prawdę w oczy. Bolejąc z Awiniończykiem z XVI w., Ha Cohenem, nad wielowiekowem męczeństwem Żydów na tym „padole płaczu,“ wchłaniając w siebie całą przeszłość cierpień i prześladowań swego narodu, Lazare nie traci jednak zmysłu krytycznego, nie jest ślepy i na ich winy, i z wielkim żalem opowiada dzieje zapanowania fanatyzmu religijnego w łonie żydostwa w w. XIII i XIV, dzieje owych rabinów-inkwizytorów, którzy współubiegali się z dominikanami w torturowaniu własnych współwyznawców tak długo, aż wytępili idee naukowe Majmonidesów i Tibbonów, aż zamknęli umysłowość żydowską na całe wieki w ghettach.... Obustronne wstecznictwo i fanatyzm przeszkodziły zjednoczeniu się Żydów z otoczeniem; siły, które walczą dziś przeciw wstecznictwu i fanatyzmowi, zjednoczą ich kiedyś i pogodzą we wspólnej wyższej ludzkości. Takim duchem przejęta jest ta jedyna w swym rodzaju książka, ściśle naukowa, gruntowna, odpowiadająca wszelkim wymaganiom krytycznym, a jednocześnie przystępna i zajmująca. I nasza publiczność mogłaby się z niej bardzo, bardzo wiele nauczyć — gdyby znalazł się wydawca, obdarzony potrzebną odwagą: bo wydanie tej książki wymaga odwagi najrzadszej — względem chrześcian i względem Żydów...

Lecz Bernard Lazare był nietylko publicystą i historykiem, lecz także artystą; nietylko Żydem, ale i człowiekiem. Artysta i człowiek odzwierciedlają się w paru utworach, między którymi główne zajmuje miejsce powieść alegoryczna „Niosący pochodnie“ **). Artysta-myśliciel przedewszystkiem; pisarz, władający pięknym, wytwornym językiem, tak zrównoważonym, jasnym i poważnym, jakim prawie tylko styl francuski być potrafi; pisarz, wykształcony na najlepszych wzorach, z nowożytnych — na Renanie i Anatolu France'ie przedewszystkiem; lecz nie urodzony beletrysta, nie odtwórca charakterystycznych postaci żywych. Niepotrzebnie też Lazare zapragnął okrasić swe dzieło szczyptą humoru, wprowadzając charakterystyczną postać filozofującego włóczęgi i pijaka; ta postać nie udała mu się, nie posiada barw i plastyki życia; ale idee, które autor wypowiada, są tak wzniosłe, że mają prawo wymagać od czytelnika, aby poprzestał na przybraniu ich w formę choć piękną, lecz prostą i jednostajnie poważną. Te idee—to cały Lazare-człowiek, jeden z najdzielniejszych, choć najskromniejszych, a zarazem najbardziej kulturalnie wysubtelnionych wśród młodego pokolenia Francuzów. Jakie idee? — Nieście oświaty pochodnie, idźcie, i gdy trzeba — idźcie wszyscy po kolei...

Przypomina mi się aforyzm starego, łacińskiego poety, już przez Cycerona przytaczany: *Erranti qui montrat viam...* Kto błądzącemu drogę pokazuje, tak robi, jak gdyby światło od swego światła zapalał: jemu nie przestaje świecić, choć się tamtemu zapaliło...

Tak chodzi z pochodnią myśli po świecie i pokazuje ludziom drogę do przyszłości, i zapala im światło w głowach— stary filozof Marek. Rzecz dzieje się w jakiejś zmienionej, powiedziałbym: zaostrzonej teraźniejszości. Wielka stolica kraju, do którego losy Marka przywiodły, ta Geronta ze swem miastem wyższem, pełnem will i ogrodów, wspaniałych pałaców i banków, i niższem, zupełnie oddzielonem miastem fabryk, nędzy i trzymających nędzę na wodzy koszar, a między dwoma temi miastami — wyspa z pałacem sprawiedliwości, to jakby Paryż, ale Paryż, jakim mógłby być kiedyś, kiedyś, gdyby dzisiejsze antagonizmy społeczne rozwijały się długo jeszcze w tym samym kierunku, zaostrzały się coraz bardziej. Marek, spotkawszy na drodze bezdomnego włóczęgę Justusa, którego opatrzył i posilił, zostaje przyprowadzony przez niego do Geronty, obchodzi ją i różnym ludziom opowiada przypowieści. Niebezpieczny to zawód; zachwyciwszy najpierw lichwiarzy tem, że jednego z nich obronił od napaści dłużnika i że im zacytował „Apologię lichwy“ Benthama, wywołuje zaraz ich oburzenie przypowieścią o końcu jednego lichwiarza, którego trupa psy pożarły. Opowieść Justusa o sędzi Arnoldzie, stającym we śnie przed sądem skazanych przez siebie, podoba się adwokatom, mającym zawsze pretensye do sędziów, ale opowieść Marka o omylności wszelkiej sprawiedliwości wywołuje ich straszne oburzenie na burzyciela porządku. Już się znaleźli koło filozofa i tacy specyaliści, co chcą z nim chodzić wszędzie i wyciągać go na przypowieści. Ale jest w Geroncie ciekawa instytucya: ogród słów, *le Jardin des Paroles*. W tym ogrodzie — do którego oczywiście jednak tylko ludzie dobrze ubrani wstęp mają — rozstawione są wśród klombów, gazonów i gajów figury mitologiczne i pawilony wszelkich stylów świata, w których wolno każdemu głosić przed ciekawymi słuchaczami, jakie tylko chce nauki. Tu, w tym ogrodzie, słuchacze są tylko ciekawi— ciekawi nowości, sensacyi, gładkiej lub niezwykłej formy; im, ani przez nich, zaszkodzić nie można. A po za granicami ogrodu nauk żadnych głosić nie wolno. W tym ogrodzie, w pawilonie Erosa, stary, damski filozof i romansopisarz Flawian wykłada bogatym i pięknym paniom teoryę wyzwalania ducha przez swobodną miłość ciała; tu emancypantka Flawia głosi w odpowiedzi nienawiść mężczyzny i amazońską czystość; tu mistyk Aurus tłomaczy, że brud i rozpusta ciała nie mogą naruszać czystości duszy. Tu zdziecinniały starzec Testis opowiada swe mgliste wspomnienie o dawno przebrzmiałym, zapomnianym dniu wybuchu ludowego, kiedy w nocy, na moście, spotkał ze snu stuletniego obudzoną, z pałacu wypędzoną markizę-pasterkę... Jednak i tu Marek znajduje ucznia. Pierwszym jego uczniem został Klaudyusz w chwili walki i niebezpieczeństwa, gdy rzuciła się na niego chmara rozdrażnionych adwokatów. Drugim — nie licząc włóczęgi Justusa — zostaje esteta Anzelm. Z nim wymienia Marek piękne, głębokie przypowieści o estetycznym uroku przeszłości, który nas przykuwa i ciągnie do siebie, ale i zatruwa, jak pocałunek syreny, od obowiązków teraźniejszości nas odrywając; i o tem, jak przeszłość, teraźniejszość i przyszłość stanowią jedną nieprzerwaną rzekę, godną również zachwytów artystycznych, gdy porywa ze sobą człowieka czynu; i o pustelniku, co uciekł od ohyd świata i win własnych, a po latach samotności bierze znów kij podróżny i wraca wśród ludzi — walczyć i nauczać, bo niedość od złego uciec samemu. I uczennica jedna idzie za Markiem, choć ją najtrudniej było zdobyć. Irena-Wizytka; tak ją nazywają, choć nie jest zakonnicą. Córka jedyna bankiera milionowego, po jego śmierci rozdaje wszystko nędzarzom, chodzi dniami i nocami po ich dzielnicach i po ich norach, ociera łzy i pot, podnosi pijaków z rynsztoków i do ufundowanych przytułków odsyła. Tej Marek opowiada przypowieść o biednej wieśniaczce Annie, włóczędze, za głupią uważanej, która z dobroci serdecznej darem swego pięknego ciała okraszała niedolę braciom-włóczęgom, aż jej jeden powiedział, że źle robi, bo pociechą ułatwia znoszenie krzywdy...

Między tą samarytanką, Ireną i estetą Anzelmem zawiązuje się stosunek miłości, w którego przedstawieniu wznosi się Lazare na wysokość smutnego, ludzkiego liryzmu. Bardzo piękna przypowieść Marka, dana tym kochankom na drogę życia, przypomina trochę swym liryzmem i tragizmem — historyę dwojga „ludzi bezdomnych“ Żeromskiego. Bo też Lazare'a przenika ten sam duch, co Żeromskiego — ta sama miłość ludzkości i poczucie obowiązku służby społecznej — choć w innych wyraża się formach. Lux i Feliza, wychowani razem w pańskim zamku, rozchodzą się, nie mogą się kochać, bo za dużo jest nieszczęść i złego wokoło. Ale rozchodzą się w dwie różne strony. Lux idzie i gromadzi armię, z którą ma w końcu przypuścić szturm do starych, krwawych murów grodu. Lecz serca tych, którzy z wewnątrz armii dopomódz mieli, ktoś popsuł, zaszczepił w nich rezygnacyę. Okazuje się, że Feliza na swój sposób służyła ludzkości, ocierając łzy, łagodząc wybuchy, sącząc pociechę w serca zranione. I na widok przygotowującego się szturmu umiera, zrozpaczona, w objęciach Luxa...

I wiele, wiele jeszcze innych, pięknych i szlachetnych przypowieści wypowiada Marek Lazare'a, zanim mu w końcu każą iść precz z Geronty, znowu w świat szeroki, szukać innych uczniów i słuchaczy.

Książkę tę zadedykował Bernard Lazare swej żonie, przy boku której — jak pisze— snuł te myśli.

K. Krauz.

*) „L'antisémitisme, son histoire et ses causes,“ Paris, 1894.

**) „Les Porteurs des Torches,“ 1897.

O prawdę.

W nr. 45 *Prawdy*, w „Pamiętniku,“ podany został jako charakterystyczny „nasz widoczek“ fakt, że Jan Urban, gospodarz na 85 morgach, nagrodzony na konkursie kieleckim, czytuje powieści historyczne Sienkiewicza, a książek gospodarczych nie ma. W dalszym ciągu podane są wywody krytyczne, przedstawiające złe strony tego, że włościanie nasi, okazując chęć do czytania powieści historycznych, zaniedbują naukę gospodarstwa postępowego. Ostatnie twierdzenia, jakkolwiek stwierdzają jedynie fakt zupełnie naturalny, i nietylko „nasz widoczek“ ilustrujący, zawierają bądź co bądź słuszny pogląd na brak chęci u włościan do korzystania z nauki książkowej wogóle. Jeśli jednak idzie o to, że włościanie niezbyt chętnie korzystają specyalnie z nauk gospodarskich, podawanych w książkach, należałoby rozważyć inne jeszcze przyczyny, prócz tych, jakie tkwią w samej umysłowości naszego włościanina. Gdy zaś wywody o tem zacofaniu umysłowości łączymy z gospodarstwem Urbana, tu już wkraczamy w dziedzinę łączenia teoryi z faktem, bardzo luźnie z nią związanym.

Powyższe względy skłaniają mnie do podania następujących wyjaśnień: Gospodarstwo Urbana zwiedzałem osobiście w czasie wystawy miechowskiej, łącznie z kilkudziesięciu

włościanami z różnych stron kraju. Jeżeli nie stwierdziliśmy oczywiście tego, żeby gospodarstwo to miało być wzorem postępu, przekonaliśmy się, że sam gospodarz jest inteligentnym i pragnącem postępu rolnikiem. Znaleźliśmy u niego żniwiarkę, śrutownik do zboża, własnego pomysłu łamany dyszel u maneża, zboża bardzo piękne, sieje bowiem gatunki zbóż nowe. Pomimo więc, że Urban nie ma książek gospodarczych, nie jest on tym rutynistą, za jakiego *Prawda* chciała go uważać. Dzieje się to wskutek dwóch specyalnych przyczyn: jedna ta, że Urban czytuje *Zorzę* i *Gazetę świąteczną*, a pisma te zawierają bardzo wiele wiadomości i rad rolniczych, często bardziej praktycznie wyłożonych, niż w książkach; drugą przyczyną jest to, że wiedza rolnicza bynajmniej nie w książkach samych tkwi. Urban ocierał się dużo o ludzi, i żywe słowo wielu rzeczy go też nauczyło. Po za tem można wskazać jedną, ogólną przyczynę, dla której pomiędzy inteligentniejszymi włościanami w kraju znajdzie się wielu takich, którzy przekładają powieści historyczne nad książki rolnicze. Dzieje się to wskutek tego, że powieści historyczne miały utalentowanych, a ostatnio prawie genialnego twórcę, jakim jest Sienkiewicz; książki zaś rolnicze dla włościan są to przeważnie nieudolne kompozycye. Mamy parę doskonałych, co prawda, broszur rolniczych, jak prof. Godlewskiego i Konarskiego, ale stanowią one jedynie wyłożenie teoretycznych zasad znajomości rolnictwa. Książki zaś, któraby samą pracę włościanina, jego gospodarowanie brała za swój temat i ten przedmiot umiała zgodnie z prawdziwym, praktycznym postępem opracować, niema i być może, że się jej i nieprędko będzie można doczekać. Względnie najwięcej o tej pracy samej podaje wiadomości *Zorza*, to też pismo to włościanie postępowi chętnie czytają. Nie będę dłużej rozwijał tutaj specyalnych, agronomicznych wywodów, ale wskazuję jedynie, że znaczna wina tego, że włościanie niedość chętnie czytają książki rolnicze, leży w tem, że książki takie do tej pory nie stoją jeszcze na wysokości zadania.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że włościanie nasi mają wrodzoną skłonność do powieści historycznych. Ale jaki może być związek między tą skłonnością a brakiem u nich postępu? W każdym razie Urban za przykład tu służyć nie może. Prędzej w związku z tem zamiłowaniem możnaby postawić to, że lubiał on odbywać podróże, które były dla niego niewątpliwie pouczające, że był w Warszawie, że przyjmował w domu swoim kilkadziesiąt osób podczas wystawy, pomimo trudu i kosztu. Nie jest to więc jedynie „robigrosz,“ jak go *Prawda* nazwała, ale obywatel kraju i stara się on swoich sąsiadów do postępu nakłaniać; bierze czynny udział w pracy łącznej tego grona włościan, które w całym kraju naszym ideę zrzeszonego postępu podniosło. I tego człowieka odsądza się od miana „obywatela“! Gdzież tych obywateli tedy szukać będziemy? Czyż Urban za to nie godzien zwać się obywatelem kraju, że nie ma książek rolniczych, a czyta książki historyczne? Osobiście znam wielu włościan, którzy mieli specyalne zamiłowanie do lektury Sienkiewicza, i zawsze byli to najświatlejsi gospodarze, przejęci duchem prawdziwie postępowego obywatelstwa: uczynni, sprawiedliwi, szerzący światło w swem otoczeniu. Sobek, sknera, o sobie jedynie myślący, nie będzie czytał powieści, choć może i specyalną książkę rolniczą wziąć do ręki.

Jak to sobie wytłomaczyć? Czyżby wiedza nie miała płynąć z książek? Owszem, płynie z nich, gdy są dobre, ale książki—to tylko drobny strumyk, którym się ona sączy, a głównem źródłem postępu u włościan jest to ogólne podniesienie ich duchowości, wyrwanie jej z ciasnego sobkostwa, z nieświadomej bezcelowości egzystencyi. Potrzeba promienia, któryby tej duszy rozświetlił jej dążenia, a wtedy ogromny zakres postępu leży przed włościanami otworem. Jednym z takich promieni są i powieści, stąd też one na równi z książką rolniczą są czynnikami postępu rolniczego u naszych włościan. „Nasz to widoczek,“ ale nie pogardy, a radości godzien. Do licznych już włościan dochodzą wpływy kultury, czy to drogą pism ludowych, książek rolniczych, lub też powieści. A każdy czynnik, któryby zdolny jest przeniknąć do głębi duszy włościanina, przez to, że wyrywa ją z wiekowego zamknięcia w sobie, ujawnia lepsze a drzemiące siły i otwiera drogę do postępu.

Wł. Grabski.

Wyjaśnienie. Autor wzmianki nie znał tak życia i gospodarstwa Urbana, jak p. Grabski, i oceniał go na podstawie ogólnych doniesień w prasie, która uwydatniła dziwne i dziwnie złączone rysy wzorowego chłopa. Zresztą nie chodziło mu wyłącznie o Urbana, ale o typ naszego oświeconego a przynajmniej chwalonego chłopa, który wraz z całym ogółem więcej uwagi poświęca sztuce, niż wiedzy, nawet tej wiedzy, od której jego stanowisko społeczne bezpośrednio zależy.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W warsz. Tow. dobroczynności utworzono wydział wyszukiwania zajęć dla pozbawionych zarobku.

— Kraków w tym roku otrzymał od sejmu 29,000 koron zasiłku na restauracyę różnych zabytków przeszłości.

— Od lat trzech trwający zatarg pomiędzy robotnikami a właścicielem kamieniołomów, lordem Pernhym w Anglii, został załagodzony, bezrobocie ukończone.

— W sprawie służby domowej *Warsz. Dn.* robi uwagę, że miasto powinno założyć kilka szkół profesyonalnych w tym kierunku, a dalej, że tylko osoby, które ukończyły te szkoły, miałyby prawo najmować się do służby. Dziś zaś należałoby rozciągnąć ściślejszy nadzór nad książeczkami służbowemi, zapobiegając ich gubieniu przez nałożenie znacznej kary pieniężnej; po czterech złych świadectwach pozbawiać prawa najmowania się do służby; jeśli właściciel lub właścicielka książeczki podlegali wyrokowi sądowemu, zamieszczać jego treść w książce; wprowadzić zwyczaj zawierania kontraktów półrocznych na piśmie. Wszystkie te środki ratunkowe nie zaprowadzą daleko. Ta sprawa, jak wiele innych, da się tylko załatwić na drodze zupełnej reformy społecznej. Stosunki dzisiejsze muszą się do gruntu zmienić, naprawić się nie dadzą.

— Ignacy Mossakowski, obywatel ziemski z gub. Podolskiej i spadkobierca zamordowanej przed kilku laty w Petersburgu milionerki Czarneckiej, aktem rejentalnym zapisał cały swój majątek, wynoszący około 6 milionów koron, na stypendya dla studentów uniwersytetu krakowskiego i uczniów gimnazyalnych.

— Liczba robotników żydowskich w fabrykach i zakładach przemysłowych w obrębie granicy osiedlenia wynosi: w guberniach północno-zachodnich 22,279, w południowo-zachodnich 9,596, w południowych 2,058. Fabryk żydowskich jest w guberniach północno-zachodnich 51%, w południowo-zachodnich 33,9, w południowych 23,9. Produkcya tych fabryk w porównaniu z ogólną wynosi w pierwszych guberniach 47,6%, w drugich 27, w ostatnich 10%. Ogólna liczba kolonij rolniczych żydowskich wynosi 301, liczba kolonistów 68,959, ziemi 100,107 dziesięcin. (Bramson: „Badania stat. st. żyd. w Rosyi“).

— W *Kur. Warsz.* czytamy: Urzędnicy wszystkich instytucyj rządowych otrzymali z Petersburga odezwę, zawierającą wiadomość, iż komitet, wybrany z pośród urzędników, opracował projekt ustawy Towarzystwa wzajemnej pomocy urzędników państwowych w gub. Cesarstwa i Królestwa. Podług tego projektu, każdemu z urzędników potrącanoby 3% z pobieranej pensyi na cele Towarzystwa. Program jest bardzo szeroki. Mianowicie: wznoszenie domów, w których lokale byłyby sprzedawane członkom na własność (na raty); urządzanie internatów dla dzieci urzędników; udzielanie zapomóg stypendyalnych; zakładanie przytułków dla emerytów; otwieranie sklepów spożywczych oraz składów z ubraniami itp.

— Kowieńskie kuratoryum trzeźwości zakłada biuro porady prawnej, darmo lub za niską opłatą, dla ludności ubogiej. Takie biuro istnieje już w Rosieniach.

— Generał-gubernator warszawski wydał rozporządzenie, aby surowo przestrzegano przepisu, zabraniającego rzemieślnikom, niebędącym majstrami cechowymi, przyjmować chłopców do nauki.

Z Poznańskiego. W sprawie biblioteki Raczyńskich w Poznaniu przesłano hr. Edwardowi Raczyńskiemu z Rogalina memoryał prawników polskich, wykazujący prawo jego wmieszania się w tę sprawę. Pozostał on jednak bez skutku. Hr. R. nie chce interweniować, gdyż otrzymał ostrzeżenie od rządu pruskiego, że w każdej chwili może go wydalić, jako obcego poddanego, a nadto odmówić poddaństwa jednemu z jego synów. (*Gaz. Pols.*).

Szkoły i wychowanie. W Politechnice warszawskiej uwolniono 159 studentów od opłaty wpisowego, zaś 113 zmniejszono opłatę do połowy.

— Przy gimnazyum żeńskiem w Kaliszu urządzono kursy pedagogiczne.

— Ministeryum oświaty zawiadamia, że słuchacze, którzy ukończyli wydział historyczno-filologiczny i fizyczno-matematyczny, a pragną otrzymać posady w szkołach średnich, obowiązani są zdać egzamin na stopień nauczyciela gimnazyalnego.

Wadomości naukowe. Austryackie ministeryum oświaty zatwierdziło układ zawarty między prof. L. Pastorem, dyrektorem historycznego instytutu austryackiego w Rzymie a komisyą historyczną Akademii krakowskiej, na mocy którego stypendyści Akademii należeć będą odtąd do instytutu austryackiego, co do kierunku i zakresu swych studyów i poszukiwań zależni jednak mają być wyłącznie od Akademii. Układ obowiązywać ma, dopóki prof. Pastor będzie dyrektorem instytutu.

Ze sztuki. Krakowskie Towarzystwo „Polska sztuka stosowana“ ogłasza, że potrzebuje projektów na meble o charakterze swojskim: 1) na stół i krzesło do jadalni, 2) na kanapę i fotel do pokoju bawialnego. Z wzorów nadesłanych zakupione będą te, które komisya rozpoznawcza uzna za dobre, po cenie 100—160 kor. za każdy. Termin do d. 10 stycznia 1904 r.

Literatura i prasa. Redakcya *Przeglądu Bankowego* ogłosiła konkurs na artykuł treści ekonomicznej, w którym ma być poruszoną jakakolwiek sprawa, dotycząca przemysłu, handlu i skarbowości. Nagroda 30 rb.

Z muzyki. D. 9 b. m. odbył się w Filharmonii koncert historyczny muzyki polskiej, niezmiernie interesujący swą treścią. Złożyły się na nią utwory XVI, XVII, XVIII i XIX wieku, świadczące wymownie, że i w tej dziedzinie posiadamy chlubne zabytki rodzimej twórczości, sięgające bardzo odległych czasów. Niektóre z tych utworów wywarły wprost porywające wrażenie. Niestety, sala świeciła pustkami. Nie było sław zagranicznych dla zachęcenia muzykalnej publiczności warszawskiej.

Sprawy ekonomiczne. *Kur. War.* donosi, że w ostatnich dniach napływ obstalunków do tutejszych hut żelaznych wzmógł się znacznie, tak że część zamówień nie została przyjęta, pomimo ofiarowanych nawet kilku kop. na pudzie więcej. Huty krajowe są wszystkie zajęte po za rok bieżący, a ceny ustanowione przez konwencyę mocno się trzymają i prawdopodobnie na najbliższem zebraniu o kilka kop. na pudzie podniesione będą.

— W celu uprzystępnienia nauki rolnictwa szerszym warstwom ludności, postanowiono otwierać niższe szkoły rolnicze w majątkach skarbowych przy zarządach dóbr państwa. Do szkół tych mają być przyjmowane przeważnie dzieci włościan w wieku od lat 12 do 17. Kurs ma być trzyletni, zajęcia teoretyczne prowadzone będą w porze zimowej, praktyczne w letniej. Dla uczniów urządzane być mają internaty i warsztaty rzemieślnicze. Szkołami zawiadywać będzie zarząd dóbr państwa.

— *Kur. Warsz.* donosi: Komisya pod przewodnictwem sekretarza państwa, Kokowcewa, ukończyła swoje zajęcia. Uchwaliła ona szereg środków, pożądanych dla podniesienia upadającego dobrobytu ludności włościańskiej w guberniach środkowych. Ważniejsze z nich, oprócz czysto rolniczych, są: uregulownie i rozszerzenie drobnego przemysłu, rozszerzenie działalności Banku włościańskiego, uregulowanie sprawy emigracyi i dzierżaw gruntowych, zmniejszenie opłat wykupnych.

— Giełda odeska orzekła, iż bezrobocia i zmowy stanowią siłę wyższą, zwalniającą fabrykantów od terminowego wykonania zamówień. *Pet. Wied.* wyrażają

wątpliwość, czy giełda odeska jest władna rozstrzygać zagadnienia prawne i wyroki swoje narzucać wszystkim przemysłowcom, a zarazem zwracają uwagę, że uznanie takiej zasady otworzyłoby pole do licznych nadużyć.

— Rząd gubernialny, warszawski postanowił wprowadzić inspektorów fabrycznych do komisyi budowlanej, kontrolującej urządzenia nowowzniesionych zabudowań fabrycznych.

— Według sprawozdania kontroli rządowej, w państwie rosyjskiem w r. 1902 wpłynęło dochodów zwykłych 1,906 milionów rb., czyli więcej, niż przewidziano w budżecie, o 105 mil. rb.; dochodów nadzwyczajnych 202 mil. rb. — o 200 mil. więcej; wydatki obliczono: zwykłe na 1,802 mil. — o 26 mil. więcej, niż w budżecie; nadzwyczajne na 368 mil. — o 194 mil. rb. więcej.

— Polecono gubernatorom znieść istniejące cechy zjednoczone, łączące pod jednym zarządem różne rzemiosła. Majstrowie danych rzemiosł mogą się zapisywać do odpowiednich cechów w miastach, w których każde rzemiosło ma swój urząd starszych.

Koleje i komunikacye. Ministeryum oświaty wyjaśniło, że przy ładunkach wagonowych wysyłający powinien na frachcie zrobić własnoręczną adnotacyę piórem, iż sam ładował dany towar i że wyładowywać go będzie odbierający. W przeciwnym razie pobierana będzie opłata za ładowanie i wyładowywanie towaru. Wszelkie stemple i adnotacye stacyi wysyłającej nie będą brane w rachubę.

— W celu przygotowania odpowiednich kandydatów na posady telegrafistów kolejowych, mają być wkrótce otwierane specyalne szkoly na kolejach. Kobiety przyjmowane będą w ilości 10% ogólnej liczby uczniów.

Zdrowie publiczne. W Wilnie zamierzają otworzyć szkołę felczerską dla 60 uczniów, pochodzących z gubernij Wileńskiej, Kowieńskiej i Grodzieńskiej.

— Jeśli wierzyć *Kniżn. Wiest.* (nr. 14), jedna z czytelń warszawskich zaprowadziła u siebie chwalebny zwyczaj dezynfekowania książek, powracających od abonentów.

Poczta. Wydano rozporządzenie, ażeby zwykłe listy rekomendowane, nadsyłane z zagranicy a zawierające przedmioty wartościowe, odsyłane były z powrotem, bez zawiadamiania o tem adresatów.

Katastrofy. Niedaleko-Turbadi Hejdari, w Persyi, w miejscowości Turszyc, skutkiem trzęsienia ziemi zginęło 350 ludzi; wiele domów i fabryk dywanów uległo zniszczeniu.

— W Indianie, Illinois, Missouri, Kentucky, Mississipi i Tenesee trzęsienie ziemi wyrządziło duże szkody.

— Na wyspie Tana, położonej na rzece Hudson, eksplodowało w magazynie kilkaset tonn dynamitu i spustoszyło okolicę w promieniu kilku mil. Liczba ofiar w ludziach dotąd niestwierdzona, przypuszczalnie jednak znaczna.

— W Nowym-Yorku pożar zniszczył „Jedenastą ulicę" — w płomieniach zginęło 55 osób.

Zmarli. Franciszek Janicki, profesor Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie; pochodził z Galicyi.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Witortowej w Poniewieżu. Numery od 27 do 39 wysłane pod opaską rekomendowaną — zapewne już doszły.

OFIARY.

Na powodzian: Z Krasnojarska: Dola Mączyńska kop. 50, P. Trojanowski rb. 1 k. 50, Antoni Piotrowski rb. 1, Winc. Wiszyński rb. 1, ks. Sw. Mirski rb. 3.

Z Tomska: W. Arciszewski rb. 5, Z. Starczewska rb. 2, Pliszka kop. 50, Korelina kop. 50, Mich. Kowalski rb. 3, Józ. Suchodolski rb. 2, Kijkow rb. 1, Maslakow kop. 50, Terpiłowski kop. 50, Mioduszewski kop. 50, J. Bystrzycki rb. 5, Sumiński rb. 2, Brzozowski rb. 2, Arciszewski kop. 50—razem 32 rb.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 30 Октября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.